Cena 60 gr.

3

MÓJ PRZYJACIEL



ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

CZERWIEC 1927

№ 5.

ROK IV.

Treść:

MÓJ PRZYJACIEL.
ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

Rok IV. Warszawa, czerwiec 1927 Nr. 5

Szkoła a życie.

U początku i końca roku szkolnego temat szkolny nabiera aktualności zarówno dla samej młodzieży, jak i dla rodziców. Jeśli nawet odmienne powody stanowią o żywotności tej kwestji w jednym lub drugim okresie, tło jednak wspólne: kierunek wychowania i dążność dostosowania go do wymogów życia. Zróżniczkowane nasze życie gospodarcze i społeczne wymaga pewnej klasyfikacji i podziału pracy, pod tym więc punktem widzenia rozpatrywana jest sprawa szkolnictwa. W związku z tem dokonywa się wyboru szkoły, więc tem samem wyboru zawodu. Szkoła elementarna i średnia dziś w zasadzie winna dać przygotowanie do zawodu życiowego, przynajmniej elementarne, w tym też kierunku idą reformy lat ostatnich. Wiedza dla wiedzy, to zadanie wyższej uczelni, lecz i tam jedynie dla wybranych, uzdolnionych.

Tu dochodzimy do sedna rzeczy: jak badać uzdolnienie. Nauka dzisiejsza rozwiązuje tę kwestję wyczerpująco. Zajmuje się nią psychotechnika. Nie poprzestaje się na teoretycznych roztrząsaniach, w całej kulturalnej Europie mnóstwo poradni przeprowadza badania indywidualne (patrz nasze ryciny), stosuje się je zarówno w szkole, jak poza jej obrębem, skierowując każdą jednostkę ściśle według uzdolnień do odpowiedniego warstatu pracy. Rozumie się, że sprawa ta ogromnej wagi już nie tylko dla danej jednostki, ale całego społeczeństwa, zajmiemy się nią obszerniej na łamach naszego pisma w oddzielnym artykule.



Aparat do badania dotyku i zdolności wykonywania czułych prac.

Na dziś i w tej rubryce zagadnienie powyższe ogranicza się dla nas do zasadniczej kwestji wyboru zawodu. Opuszczający w najbliższych tygodniach ławę szkolną nie mogą czekać, aż i do nas przedostanie się prąd z Zachodu i na tyle zagości w murach szkolnych, iż kilkuletni pobyt w zakładzie da uczniowi poza tem minimum wiado-

mości ogólnych zarazem też zasadniczy kierunek życiowy, obudzi w nim utajone zdolności, skieruje go do pracy twórczej, do jakiej jest on jedynie powołany. Daleko nam jeszcze do tego; dziś szkoła tego zadania niestety jeszcze nie spełnia. A jednak w dzisiejszych warunkach wyboru szkoły dokonywa się przecież jedynie z uwagi na to, jakiemu zawodowi praktycznemu chcemy się poświęcić. Wybór ten jest oczywiście chybiony. Decydować się trzeba zbyt wcześnie, przeciętnie najdalej w 10 tym roku życia, więc w chwili, gdy poza wyjątkowemi wypadkami, gdzie wybitne uzdolnienie już w pierwszej młodości się objawia, materjał ludzki naogół jest jeszcze niewyrobiony. Decydować więc muszą w tych warunkach rodzice. Przychodzi im to niełatwo, należy to skonstatować. I oni powołania dzieci, tej ich siły wewnętrznej, co się z biegiem lat dopiero objawia, nie znają, z konieczności więc zasadniczą tu rolę odgrywają czynniki uboczne. Pomijam ten najważniejszy regulator, jakim jest życie gospodarcze. U nas jeszcze ono nierozwinięte w tym stopniu, by miało być faktorem decydującym, górę więc w takich wypadkach biorą rozmaite względy osobiste. Niejednokrotnie przemawia t. zw. ambicja: syn winien przewyższyć ojca. Inaczej gdzieindziej, tam chlubią się tem, że któraś już z rzędu generacja w danym zawodzie praktykuje, a każda go coraz więcej udoskonala. Słowem, brak nam jeszcze zrozumienia dla najważniejszych kwestyj życiowych. I to się niestety bardzo daje we znaki.



Badanie wytrzymałości człowieka, pragnącego się poświęcić zawodowi „stojącemu“.

Za krótki czas szkoły się zamyka, nastają ferje. *Piekącą jest kwestja odpowiedniego wyboru, narazie przedewszystkiem dla maturzystów.* Zaabsorbowani chwilowo przygotowaniami do tego decydującego w ich życiu momentu (któż tej gorączki nie pamięta), nie widzą narazie dalszych trudności. „Niech tylko maturę uzyskam“, myśli niejeden, „już sobie dam radę“. Tak jednak nie jest. To ledwo drobny początek, trudności dopiero później się piętrzą, a zważyć trzeba, że ten krok stanowi o całem późniejszem życiu. Im więc przedewszystkiem chcemy w tej chwili przyjść z pomocą.

Lecz do tego się nie ograniczymy, Nie dużo szczęśliwców, którzy mają możność wytrwać dziś 8 lat na ławie

szkolnej, by dalsze 4-6 poświęcić studjom wyższym. Znikoma jeno część ma to zapewnienie, reszta już wiele wcześniej staje przed tem, przekraczającem jej siły zagadnieniem. I tym chcemy dać możność, rozejrzenia się w sytuacji, obrania drogi nie przypadkowej, lecz pewnej i odpowiedniej.

Rozpoczynamy serję artykułów, które rozjaśnią całokształt sprawy. Damy przewodnik, który zorjentuje każdego zainteresowanego co do wszelkich praktycznych zawodów, ich stron jasnych i ciemnych, przygotowania i wykonywania, a także kwalifikacyj osobistych, jakie są wymagane. Ogromnie ważną rolę odgrywa tu też kwestja zdrowotności: zarówno warunki zdrowotne w danym zawodzie, jak niemniej dla zakwalifikowania do tego lub innego zawodu, zdrowie samego kandydata. Każdy rodzaj wymaga pewnej sprawności zmysłu. Krótkowidz może mieć zastosowanie tam, gdzie przytępiony słuch tylko może być przeszkodą i naodwrót.

Tę kwestję potraktujemy fachowo i obszernie, jak wogóle postaramy się dać Wam, młodzi przyjaciele, *poradnik*, który Was poprowadzi przez labirynt życia zawodowego ku upatrzonej, a pewnej i odpowiedniej przystani.

ZE SZKOŁY w ŻYCIE.

Mijają ostatnie dni roku szkolnego kończy się długi, 10-miesięczny okres nauki. Dwa miesiące feryj nastają, czas wolny, błogi. Nie byłby normalnym uczniem ten, nawet najpilniejszy, komu na samą myśl o tem, serce żywiej nie zabije. I całkiem to naturalne. Szkoła — szkołą, lecz i życie ma swe wymagania, a dla objętego obowiązkiem szkolnym, „życie" streszcza się w ferjach. Wtedy dopiero więzy spadają, obowiązek się kończy, a radosny, niczem nieskrępowany żywot nastaje. Przynajmniej na te 2 miesiące. Ot, logika normalnego ucznia, lecz w tym okresie, gdy szkoła dlań nadal jest celem i na czas poferyjny. Ferje to tylko wypoczynek między jednym obowiązkiem a drugim, gdyż program już wpierw ustalony na pewną ilość lat, droga wytknięta i znana.

Rok rocznie jednak z nastaniem feryj zbliża się pora trudnej decyzji dla tych, *co ławy szkolne na zawsze opuszczają*, a ich niemało. Jakże się dotąd łatwo i składnie ich życie normowało, to szkolne: zgóry ustanowioną ilość lat „odsiedzieć" trzeba było koniecznie, by dalej móc iść w życie. Łatwe to i proste było zadanie, gdy nic innego czynić nie należało, jak róść i mężnieć, a nadto wiadomości i sił nabrać na tyle, by w społeczeństwo już wstąpić jako dojrzały i nowe ogniwo móc stworzyć w ogólnym łańcuchu.

Dziś, gdy zadecydować trzeba, co wybrać, którędy iść, za jaką z nieokreślonych, a zmagających się w nim sił podążyć, *staje niejeden bezradny*.

Warto więc i o celu pomówić, który sobie niejeden z Was stawia, czy go przypadkiem nie sama fantazja młodzieńcza stworzyła, a dając kruche podstawy, naraża na borykanie się z losem, podcina skrzydła, niweczy najśmielsze plany i życie łamie.

Wybór zawodu życiowego, to sprawa ogromnej wagi, lecz dotychczas u nas jeszcze nie doceniana. Brak jest przedewszystkiem należytego zrozumienia dla tej kwestji o tak doniosłem znaczeniu, brak poradni[1]), gdzieby każdy mógł znaleźć wskazówki i orjentację. *Czemże więc kierować się w chwili decyzji?* Jest też ona jedynie dowolną, zapada raczej w zależności od czynników materjalnych, aniżeli zdolności, sprawności i zdrowia.

Lukę tę staramy się zapełnić. Damy dokładny przegląd wszelkich zawodów praktycznych, cykl zajmie się szczegółowym rozbiorem *zawodów wolnych* (lekarz, inżynier, prawnik, handlowiec, rolnik, farmaceuta), po zatem omówi wyczerpująco *wykształcenia zowodowe* zarówno męskie, jak żeńskie. *Nadto otwieramy dyskusję w tej sprawie.* Każdemu zainteresowanemu z całą gotowością służymy radą i wskazówkami. Zwracajcie się tylko, przyjaciele z wszelkiemi zapytaniami, wykażcie żywotność tego zagadnienia dla Was. Życie wymaga odpowiedniego przygotowania, trzeba więc stworzyć tę organizację.

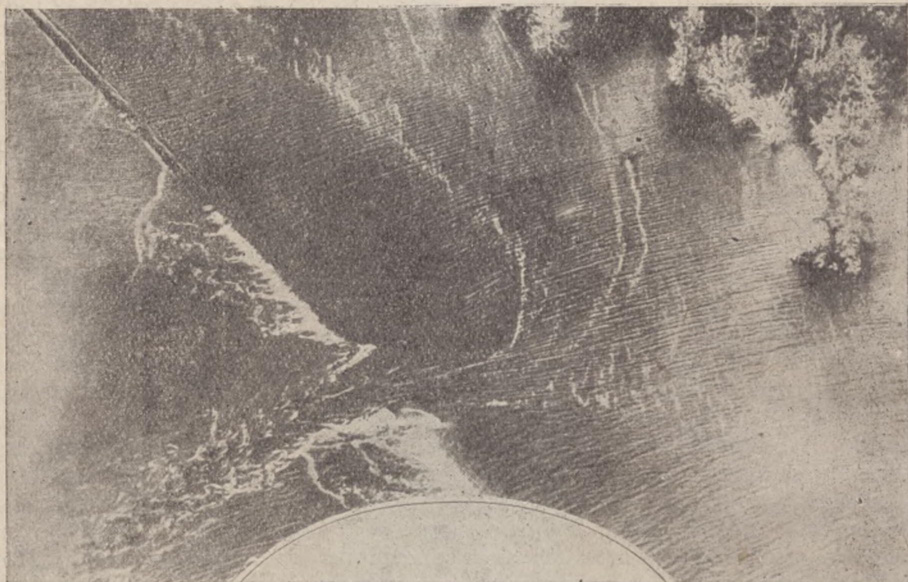
Inż. D. Berger

---

[1]) Wprawdzie istniejące w W-wie Tow. Eugeniczne Żórawia 28, z 5 oddziałami w całej Polsce, stworzyło taką poradnię, musi jednak chwilowo zwalczać obojętność społeczeństwa, które nie umie—jak narazie— należycie ocenić tej instytucji.

Ze świata*

Ameryka pod wodą.



Spiętrzone bałwany Missisipi zrywają tamę, chroniącą miasto przed zalewem rzeki. (Rzadkie zdjęcie dokonane z aeroplanu).

Ikarowie XX wieku.





Nungesser i Coli, bohaterrscy lotnicy francuscy, podjęli lot aeroplanem z Paryża do New Jorku i w drodze zaginęli.

*) Patrz str. 6, Kronika miesięczna.

Rekordy w lotnictwie.



Kpt. Charles Lindbergh, amerykanin, pierwszy przeprawił się aeroplanem przez ocean i po 33 godz. locie przybył z New Jorku do Paryża, entuzjastycznie witany przez ludność. Dzień jego powrotu do Ameryki obchodzono świątecznie.



Chamberlin i Lewin osiągnęli najnowszy rekord, przeprawiwszy się po Lindbergh'u z New Jorku do Berlina. Przebyli w powietrzu 40 godz. bez przerwy, zamierzają również podjąć lot powrotny, mimo niedogodnych warunków atmosferycznych. Podejmowani są z ogromnym entuzjazmem przez Berlińczyków, otrzymali również zaproszenia ze wszystkich państw europejskich, rywalizujących z sobą o honor goszczenia bohaterów. Przewidywany jest też ich przyjazd do Polski, co ma nastąpić w najbliższych dniach.

Z Chin



Tranpsort rannych i chorych z frontu w Szanghaju w drodze do lazaretów.

Kronika miesięczna.

Miesiąc ubiegły upłynął pod znakiem zmagania się techniki ludzkiej z siłami żywiołowemi, wobec których zdobycze nowoczesne okazały się jednak niewystarczającemi.

Zgrozą przejmująca powòdź rzeki Missisipi wstrząsnęła świat cały, którego kroniki nie znają podobnego wylewu. Nie potrafiły wstrzymać „pochodu" wody, doskonałe i liczne tamy amerykańskie i pod wodą znalazło się tysiące żyznych pól, których obszar trzykrotnie przewyższa Holandję. Z powodu wylewów utworzyła się wielka rzeka, poczynająca się od zerwanych w Bayon des Glaises tam, przez deltę Missisipi. Ruszyła także z brzegów i Wołga, ale mniejsze czyniąc od Missisipi szkody.

Nie pozostał spokojny inny żywioł równie groźny dla krajów nadmorskich jak i powódź; orkan w Indianopolis uczynił wielkie spustoszenia choć trwał wszystkiego trzy minuty.

Mimo tak bezpośredniego memento odwaga ludzka jest nieustraszona w walce z naturą. Do takich odważnych czynów zaliczamy loty transatlantyckie, o które w tym miesiącu odbywał się formalny wyścig. Do zawodników tego wyścigu należą włoski pułkownik de Pinedo, lotnicy francuscy Nungesser i Coli (dotychczas nie znalezieni) i śmiałkowie amerykańscy Chamberlin, kpt. Byrda i Lindbergh.

Do szczęśliwców, którzy dokonali pełnego lotu przez Atlantyk, należy kpt. Charles Lindbergh, który „p r z e f r u n ą ł" go sam bez pomocnika i to na najmniejszym aeroplanie. O tem, jak doniosłym jest ten lot, świadczy entuzjazm na obu półkulach i liczne depesze od naczelników wszystkich państw. Znamienne są słowa depeszy Benita Mussoliniego, który w ten sposób go określa: „nadludzka wola zdobyła szturmem przestrzeń i ją ujarzmiła". Bo trzeba zdać sobie sprawę z okoliczności i czasu w jakich lot ten się odbył (przez 33 godziny — i przeciętnie 175 klm. na godzinę). Pokonanie tak wielkiej przestrzeni w tak krótkim czasie ogromnie ułatwi w przyszłości stosunki handlowe Ameryki z Europą.

Pisząc o lotnictwie zagranicą nie można pominąć milczeniem straty, jaką poniosło lotnictwo nasze przez śmierć tragicznie zmarłego ppułkownika Zycha-Płodowskiego. Śmierć ta zbiega się z wykończeniem wielkiego „Pomnika Lotników", dłuta znanego rzeźbiarza Edwarda Wittiga. Dzieło to pod względem wielkości i piękna przewyższa wszystkie dotychczasowe pomniki tego rodzaju w Europie i wkrótce będzie ozdobą Warszawy.

Nielada zaszczyt spotkał tegoż prof. Edwarda Wittiga, a przez to i sztukę polską, gdyż jest to pierwszy Polak i jeden z niewielu cudzoziemców zaliczony do członków Akademji Francuskiej.

Świat sportowy pilnie śledzi wyniki państw w mistrzostwach tennisowych o puhar tegoroczny Davisa, w których i reprezancja nasza bierze udział. W tym roku przeciwnikiem naszym była Belgja, która aczkolwiek mniej groźna od poprzednika (którym była dwukrotnie Anglja) przewyższa nas w tej dziedzinie sportu.

Reprezentację naszą tworzyli Kleinadel, Czetwertyński i Stolarow; w składzie drużyny belgijskiej znany tennisista Wascher (leworęki) i Botsford. Wynik na korzyść Belgji 5:0 dowodzi, że jeszcze wiele pracy nas czeka, by na terenie międzynarodowym osiągnąć zadawalniające rezultaty.

Pewnego rodzaju sensacją w tennisie jest przyjazd „Napoleona tennisu", mistrza amerykańskiego Tildena do Europy. Jest to pierwszy wypadek przyjazdu na kontynent amerykańskiego tennisisty, którego zamiarem jest naprawić swą zachwianą opinję w zeszłorocznych mistrzostwach Stanów Zjedn. Ameryki. I trzeba przyznać, że się chlubnie z zadania wywiązał. W spotkaniu z reprezentacją Niemiec (w składzie których był znakomity Froitzheim), Tilden osiągnął znakomite wyniki.

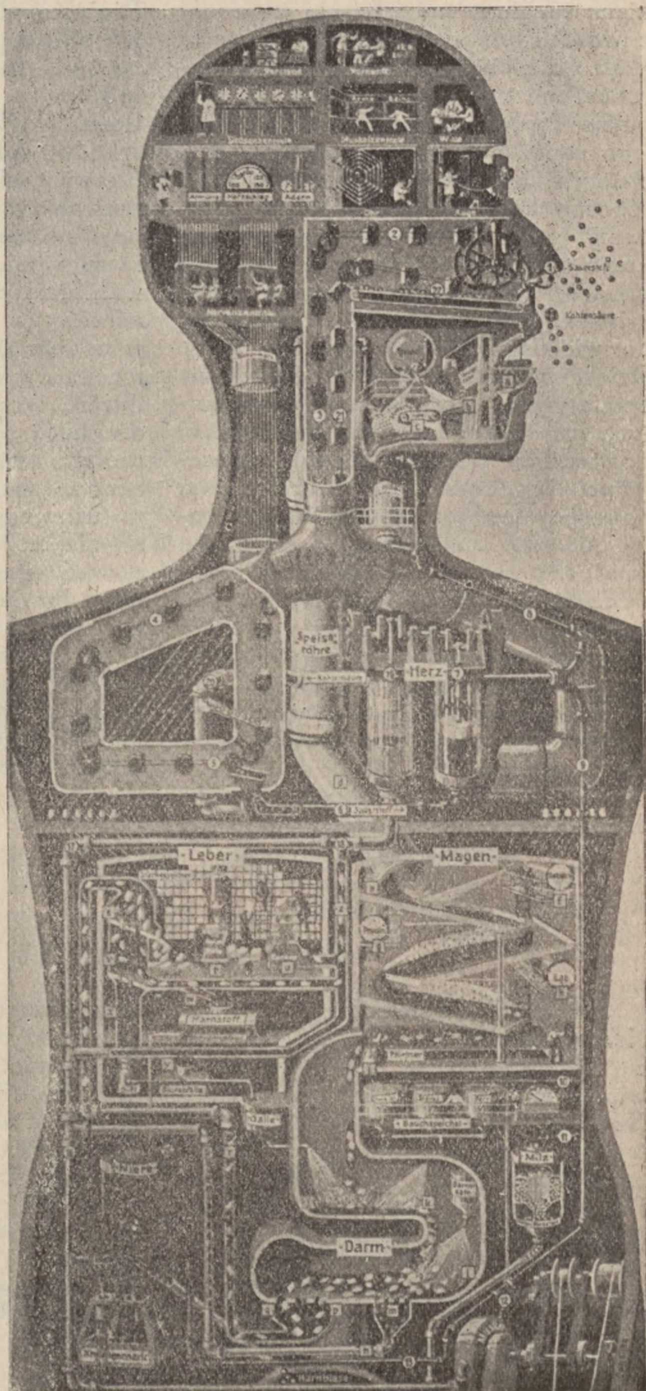
HAHA.

Człowiek—fabryką chemiczną.

W wielce zajmującej książce D-ra Kahna: „Życie człowieka“ znajdujemy b. ciekawe porównanie ustroju ludzkiego z wielkim zakładem przemysłowym. Jak w wielkiej fabryce szereg oddziałów, zaopatrzonych w maszyny i pracowników wykonywa ściśle określoną, specjalnie dla nich przeznaczoną pracę, tak też w ustroju ludzkim istnieją narządy, które w podobny sposób spełniają swe czynności. (Patrz rycina).

Dyrektorem — rozkazodawcą tej żywej fabryki jest *mózg* wraz z pewnemi ośrodkami nerwowemi (węzłami autonomicznemi). Nad wykonaniem zaś jego zarządzeń czuwa „*dozorca*“ — niezwykle rozgałęziony i wszędy przenikający *układ nerwowy*.

Podobnie jak silnik parowy lub benzynowy musi spalać węgiel lub benzynę, tak ustrój ludzki otrzymuje w pokarmach paliwo w postaci białek, tłuszczów i węglowodanów (mączka, cukier) i spala je w swych komórkach. Wcześniej jednak pokarm musi ulec gruntownym przeróbkom. W jamie ustnej zostaje on „zmielony“, stąd zjeżdża jakby windą wzdłuż przełyku do żołądka, gdzie się ogrzewa i podlega dezynfekcji poczem wiele zarazków, jak cholera i inne ginie w soku żołądkowym. Nadto stanowi



Pomn. obraz tabl. z książ. Dra Kahna „Życie człowieka.“

żołądek wstępne laboratorjum chemiczne, w którem pokarmy ulegają przeróbkom; zaś główna, subtelna praca chemiczna odbywa się w jelicie cienkiem: tu biorą udział soki trawienne z wielkich gruczołów: wątroby i trzustki. Wątroba nietylko bierze udział w przeróbce, lub unieszkodliwia trucizny i reguluje dopływ pokarmu, magazynując jego nadmiar na gorsze czasy w specjalnych składach. Po skończonej przeróbce, pokarm jako paliwo płynne (roztwory białka i cukru gronowego, znikomo małe kuleczki tłuszczu) opuszcza przewód pokarmowy poprzez żywe „sito“ jelita cienkiego i dostaje się do wielkiego basenu krwi i limfy. Dzięki temu, iż układ krwionośny oplata gęstą siecią naczyń włoskowatych całe nasze ciało, ma on możność dostarczenia pokarmu każdej poszczególnej komórce. Lecz prócz paliwa potrzebny jest jeszcze tlen, w którymby ono się spalać mogło. Otóż rolę transportu tlenu bierze na siebie układ oddechowy. Przechodząc przez krtań, tchawicę i oskrzela powietrze ogrzewa się, staje się wilgotne i przedostaje się do pęcherzyków płuc.

W pęcherzykach płucnych tlen w powietrza przenika poprzez delikatne błonki do krwi.

Tu chwytają go czerwone ciałka obładowane nim płyną ze strumieniem krwi aż do najodleglejszych zakątków ustroju. Po drodze oddaję swój ładunek komórkom ustrojowym. Mamy więc w komórkach paliwo i tlen. Proces spalania się (utleniania) może już odbywać się prawidłowo, acz wolno. Jest to t. zw. *oddychanie śróddrobinowe*. Tworzy się przytem dwutlenek węgla, którego nadmiar jest b. szkodliwy dla ustroju; unoszą go więc czerwone ciałka krwi w swej stałej wędrówce życiowej. Lecz na tem rola krwi się nie kończy; gdy bowiem poszczególne komórki się rozpadają, wytwarzając szkodliwe związki chemiczne (a ten proces odbywa się w ustroju stale) — prąd krwi je unosi, rozcieńcza i filtruje w wielkiej stacji filtrów, jaką są nerki i w tysięcznych drobnych filtrach skórnych — w gruczołach potowych i łojowych. Krew oczyszczona wraca stąd zpowrotem do ustroju, który bez czystej krwi obyć się nie może. Winna ona stale przepływać przez tkanki, w przeciwnym razie, bowiem, łatwo mogą one zginąć z braku pożywienia i z samozatrucia. Musi przeto istnieć motor, któryby poprzez całe życie człowieka stale wprawiał krew tę w ruch. A motorem tym w organiźmie ludzkim jest jego pompa ssąco-tłocząca — *serce*.

N. Manson.

Bunt zwierząt.

Angielski inżynier okrętowy Robert Nelson opowiada o faktycznym „buncie“ zwierząt, jaki się zdarzył na statku, wiozącym menażerję do Nowego Jorku. Na statku znajdowały się małpy, papugi, tygrysy i żmije. Podczas gwałtownej burzy część klatek uległa zniszczeniu i uwolnione zwierzęta wyszły, ku przerażeniu załogi, na pokład. Do pomieszczeń maszynowych dostał się olbrzymi orangutang, wymachując wielkim młotem. W ciągu dwóch minut wszyscy obsługujący maszyny uciekli. Tymczasem orangutang zaczął „urzędować“ przy maszynach tak, że statek bez steru i kierownictwa zaczął tonąć. Wtedy inżynierowie z żelaznemi sztabami napadli znienacka na orangutanga i, ogłuszywszy go umieścili w klatce. Do Nowego Jorku, przybyli już zupełnie spokojnie z wszystkiemi zwierzętami uwięzionemi, oprócz papugi, która swobodnie skakała w kajucie kapitana i doskonale się czuła na małej huśtawce, chrupiąc z apetytem cukier.

Shantiniketan, szkoła Rabindranath'a Tagore.

Dużo pisano o Rabindranacie Tagore — jeszcze może więcej mówiono o nim. Tyle wrzawy robili wokół niego tak zwani jego „przyjaciele" — że szerokie masy odsunęły się od niego i, że dziś jeszcze — właśnie wśród młodzieży są Niezliczeni którzy nic o nim wiedzieć nie chcą, a być może nic o Nim dotąd nie wiedzą. — Niech jednak poznają Rabindranath'a Tagore — tego, który z nieporównaną subtelnością śpiewał i śpiewa — o wszystkiem co na ziemi jest i może być; — Tego, o którym mały chłopczyk powiedział: „Nie wiem czy on jest święty — ale jest z pewnością bardzo miły człowiek."

Witajmy go, jako Brata i Przyjaciela — bo jak Brat i Przyjaciel do nas zawitać miał i napewno Dali będąc — Bliskim nam jest.

* * *

Kiedy jadę w obce kraje — jest to moją niemilknącą tęsknotą — wrócić do szkoły, do tego najmilszego mi zakątka na ziemi — do szkoły Rabindranath'a Tagore.

* * *

Kiedy opiszę przebieg dnia pracy — będą sobie mogli czytelnicy najłatwiej stworzyć obraz szkoły Tagore. — Daleko jeszcze do wschodu słońca, a dzieci już czuwają — jak ptaszki w lasach magnolji. Chórzyści szkoły pierwsi się budzą, wędrują po lasach od wczesnego brzasku i śpiewają swoje pieśni ranne. Głosy ich zdaleka słychać, aż powoli — coraz bliżej i bliżej rozbrzmiewają — i znów powoli milkną. Wnet każdy chłopak bierze swoją matę, wędruje w pole — rozkłada ją — i pogrąża się w zadumę. A potem szkoła się rozpoczyna; wszyscy chłopcy zbierają się w cieniu drzew i chwalą Boga, nucąc hymny.

Do godziny 10½ — w przybliżeniu — trwa nauka szkolna. Nie mamy poszczególnych klas w szkole, chłopcy siedzą ze swoimi nauczycielami na powietrzu, pod drzewami. Nie mamy też licznych klas. Grupa, składająca się z ośmiu lub dziesięciu chłopców, siedzi naokoło nauczyciela i zarzuca go pytaniami. — Nie używamy prawie żadnych książek. Tylko rozmowa nasuwa temat nauczania, tak jak wychowywano za czasów Sokratesa i Platona w Atenach.—Chłopcy nauczają się w krótkim czasie jak należy mówić o sprawach, które ich zastanawiają— o trudnościach, które napotykają, a nauczyciele baczą pilnie na pytania i odpowiedzi chłopców. — Dziewczęta uczą się wraz z chłopcami.

Kiedy ranna lekcja jest skończona, dzieci biorą swą poranną kąpiel przy studni na świeżem powietrzu i następnie udają się na posiłek. O 2-ej rozpoczyna się lekcja poobiednia; nie jest to praca — głową tylko — ale i rękoma. Ćwiczą się w nauce rzemiosł. Wielu staje się zdolnymi rysownikami, malarzami, znów inni muzykantami.

O 4-ej wszelka nauka skończona. Wtedy wszystko pędzi na duże boiska, leżące naokoło szkoły, i gra wrze.

Najulubieńszą grą jest piłka nożna.

Wieczorem, gdy słońce zachodzi, chłopcy wracają i siadają w zmierzchu na zadumę wieczorną. — Po zadumie razem odmawiają modlitwę wieczorną, a kiedy już ciemność zaległa, opowiadają sobie bajki, urządzają przedstawienia teatralne, śpiewają pieśni Tagore i wtedy też odbywają się najrozmaitsze posiedzenia szkolne.

O 9-ej wszyscy są wolni i mogą się udać na spoczynek. — Znów chó-

rzyści wędrują po wszystkich ścieżkach i śpiewają hymny wieczorne.

* * *

Nie ulega żadnej wątpliwości, że takie życie w szkole daje dzieciom dużo szczęścia. Twarze ich są beztroskie. Nie mają żadnych plag egzaminowych — niepotrzebna im zachęta — w postaci stopni lub nagród. Raz w tygodniu zbierają się wszystkie dzieci naokoło twórcy — poety.

Któż zdolen jest opisać miłość dzieci do Poety — Nauczyciela. Przepiękny to widok, gdy dzieci biegną mu naprzeciw, skoro ujrzą go zdaleka lub gdy podczas pracy — zaintonują Mu pieśń. Dzieci są Jego natchnieniem; one są też Jego słuchaczami i jego krytykami; dlatego Jego pieśni są pełne ducha młodości.

— Zdrowie poety w ostatnich czasach jest zagrożone i wszyscy są w wielkiej trosce o niego. Ale on uczy nas nie dać się nigdy opanować trosce i lękowi, a wewnętrzną serca radością — zwalczać je.

„Bóg przejawia się tylko w nieśmiertelnej radości".

— Obdarowują nas tą radością w Shantiniketan — a dzieci nasze wciąż się jej uczą.

Zofja. R.

Kair w legendzie i rzeczywistości.

Kair! Ileż legendarnych opowieści wywołuje to czarodziejskie słowo.

Kair! — Kalejdoskop barw i poruszeń, szczyt fantazji ludzkiej i nastroju. Tyle się słyszy o ludach Wschodu, tyle się czyta, tyle się przeczuwa...

Wielbłądy obładowane ciężarami kroczą po ulicach obok osłów; tajemni, cześci pełni ludzie śpieszą gdzieś bezszelestnie...

Ciekawsze wrażenie jakie czyni miasto — to połączenie zeuropeizowanego Wschodu z orjentalistycznym Zachodem: Modernistyczne europejskie fundacje, których białe domy przypominają Paryż — Europejczycy w przeciskającym się przez ulice tłumie. Tylko tu i ówdzie dostrzeżone dziwaczne ubiory przypominają, że znajdujemy się daleko od Europy. Kair składa się z trzech różnych części; jest to jakby jeden odrębny świat pośród światów. Na pierwszy rzut oka uderza nowoczesne miasto, ze swym luksusem 20 w., z hotelami, w których wszystkie modernistyczne urządzenia znaleźć można. Wielu turystów, oddanych przewodnikom i „Baedeckerom" odwiedza meczety, by zaraz potem udać się na dancing w hotelowej sali. Nic dziwnego, że miasto sprawia tym podróżnikom wielkie rozczarowanie. A tak blisko leży rzeczywisty Kair: stary Kair o wąskich ulicach i dziwacznych domach, które dotychczas jeszcze nęcą ozdobami odwiecznych balkonów i kratami haremów. Tu istnieje miasto odkryć. Słodkie zapachy, przyciągają do napoły ciemnych bazarów, gdzie wołania sprzedających wodę łączą się z krzykami roznoszących kawę i chciwych mienia kupców. Smyrneńskie dywany, jedwabie z Buchary, ozdoby najprzeróżniejsze lśnią się jak różnokolorowe kwiaty; złotem i srebrem przetykane materje powiewają na wietrze. Z drugiej zaś strony tego świata handlu i przemysłu, leży miasto umarłych, gdzie dumni mamelucy spoczywają w swych grobach. Ulica grobów otoczona jest meczetami, minaretami i dziwacznemi budowlami, pełnych podwórców i pokojów — wygląda jak miasto żyjących ludzi. A w każdym domu mauzoleum. Co za dziwna sprzeczność z hałaśliwym, żyjącym Kairem. Uzupełnieniem tego obrazu niechaj będzie Cytadela wystawiona w 12 w. przez Saladyna, stromo położona w stosunku do

miasta i groźna, jak skała Gibraltarska. Wewnątrz zaś alabastrowego meczetu spoczywa Mohammed Ali, założyciel egipskiej dynastji, w wiecznym śnie. Na skraju pustyni leży to miasto ze swemi płaskiemi dachami, jak osobliwy wzorzysty kobierzec. Woddali lśnią niebieskawe wody Nilu na niezmierzonej równinie, jak graniczne kamienie wieczności wznoszą się piramidy. Życie wypływa ze śmierci i rozlewa się, jak woda zapładniającego strumienia. Ponad wszystkiem zaś wznosi się Sfinks, odwieczny władca znikomego losu. Z wiecznie tym samym nieprzenikliwym uśmiechem słucha tajemnic pustyni i bicia fal przemijających stuleci; patrzy litośnie na maluczkich ludzi, których niepamiętne klątwy obijają się o jego kamienne uszy.

A. Horne.

Z krainy Wschodzącego słońca

Pogrzeb mikada.

Pogrzeb ostatniego cesarza Japonji, Joshi Ito, ojca obecnego cesarza Hiro Ito, odbył się zgodnie z tradycyjnym ceremonjałem cesarskim; składa się nań cały szereg obrzędów, drobiazgowo ustalonych od wieków, dziwnie skomplikowanych i fascynujących zarazem.

Ściśle mówiąc ceremonjał rozpoczyna się jeszcze przed śmiercią władcy.

Niedawno zmarły mikado, jak wiadomo, spędził ostatnie chwile w ulubionej swej willi w Hayama. Hayama jest miasteczkiem położonem w jednej z tych okolic półdzikich i sielankowych, które tak dziwny urok i czar wywierają na zwiedzających je Europejczyków.

Są to pagórki niedbale i falisto rozmieszczone, pokryte grubą warstwą drzew zielonych. U podnóża jednego z takich pagórków w gęstwinie zieleni drzew wznosi się, oparta o mur, willa władcy, pełna prostoty i pozbawiona wszelkiej majestatyczności. Mikado dokonał tam żywota zdala od wszelkiego tumultu stolicy.

* *
*

Gdy tylko wieść się rozniosła, że życie cesarza jest w niebezpieczeństwie, wiele tysięcy osób przybyło, jedni do Tokjo, drudzy do rezydencji Hayama, celem informowania się o stanie zdrowia mikada i odprawienia modłów błagalnych.

W Tokjo, co wieczór, co noc, gromady Japończyków i Japonek skupiały się przed pałacem cesarskim; w Hayama rzesze pielgrzymów odzianych w białe peleryny — strój tradycyjny wiecznych wyznawców religji Szynto — odprawiały gromkie nabożeństwa za zdrowie cesarza, nad brzegami morza.

Kiedy mikado zamknął oczy na zawsze, wywieszono nad pałacem cesarskim flagę narodową, owiniętą, na znak żałoby, szeroką wstęgą z czarnej krepy. Była to oznaka, zawiadamiająca, że cały kraj jest okryty żałobą. Śmierć bowiem mikada, uważanego za ojca całego narodu, dotyka według pojęcia japońskiego cały 56-o miljonowy naród japoński.

Ceremonjał pogrzebowy, który towarzyszy śmierci mikada jest częścią składową narodowej religji Japonji. Jaką tedy jest ta religja?

Dzieła sztuki japońskiej i inne zabytki kraju Wschodzącego Słońca utrwaliły nas w przekonaniu, że religją panującą Japonji jest buddyzm. Jednakże tak nie jest. W rzeczywistości bowiem buddyzm jest tylko jedną z licznych religij Japonji, a nadomiar — religją pochodzenia obcego.

Prawdziwą religją Japonji, religją narodową jest „*szyntoizm*". „Szynto" albo *głos bogów* jest w istocie swej religją naturalistyczną. Ten kult natury, jak również głęboko zakorzeniony kult

przodków są oparte na czczeniu bogów — przodków narodu japońskiego: *Izanagi i Izanami.*

Według wierzeń Japończyków, dzisiejsza dynastja cesarska wywodzi swój ród właśnie od tych bogów.

Mikado więc — według założenia religji Japończyków — jest jakby symbolem i wcieleniem wszystkich przodków ludzkich i boskich, jest wcieleniem duszy narodu japońskiego. Cesarz jest żywym wiązadłem między każdym Japończykiem a wszystkiemi bogami wszystkiemi przodkami rasy; jak ongiś, faraon w Egipcie, którego władza miała wiele analogji z władzą cesarza japońskiego, on ma również władzę komunikowania się z bogami.

On się udaje co pewien okres czasu i po każdem zdarzeniu o znaczeniu epokowem do świątyni *Isé*, gdzie zdaje sprawę bogom; udaje się do sanktuarjum, do którego jedynie on ma prawo wstępu. Jest on jednocześnie wielkim kapłanem bogów i bogiem zarazem; jest on jedynym bodajże władcą na świecie, który zachował te wyjątkowe przywileje.

A więc, kult cesarza jest u Japończyków, jak stąd widzimy, częścią nieodłączną religji, która jest przedewszystkiem religją narodową.

Jeżeli tedy umiera mikado, oznacza to — według wierzeń wiernych, że dotąd żyjący między nimi bóg opuszcza padół ziemski.

* *
*

Wszystkie obrządki, których czas nie zmienił, zostały zachowane i w ostatniej uroczystości najskrupulatniej przestrzegane.

Z chwilą, gdy ostatni mikado przestał żyć, książę—następca tronu, który z tą chwilą został automatycznie mikadem i, według pojęcia religijnego Japończyków, żywym wcieleniem bogów, został wprowadzony z godną Dalekiemu Wschodowi, egzotyczną pompatycznością, do pałacu cesarskiego w Japonji, gdzie w sali tronowej odbyło się uroczyste przyjęcie.

Nowy mikado otrzymał w posiadanie trzy święte przedmioty, które od wieków — od czasów legendarnych— — są oznaką boskiego dziedzictwa.

Jest to: szpada, lustro i klejnot.

Ceremonjał wręczenia tych trzech świętych przedmiotów jest dla mikada prawdziwym aktem inwestytury politycznej i religijnej.

W tej uroczystości uczestniczyć może tylko ograniczona liczba osób, a więc: kapłani—szyntoiści, marszałkowie, admirałowie, ministrowie i najbliższa rodzina cesarska. Podczas gdy powyższa uroczystość miała się ku końcowi, ciało zmarłego mikada ustawiono na ogromnej platformie, zaprzężonej w dwa piękne rumaki, i skierowano z rezydencji letniej Hayama do Tokjo.

Jednakże właściwy kondukt żałobny ciągniony jest przez 2 pary wołów, specjalnie wyszukanych w dzielnicy *Hiroshima*, słynnej ze swego bydła rogatego i specjalnym pociągiem wysłanych do stolicy.

* *
*

Od tej chwili rozpoczyna się gorączkowa praca nad przygotowaniami pogrzebowemi i nad zbudowaniem wielkiego mauzoleum, gdzie spoczną na zawsze szczątki mikada. Wszystkie te przygotowania, które wymagały zatrudnienia tysięcy robotników, trwały przeszło miesiąc i skończyły się dopiero 7 lutego, kiedy miała miejsce właściwa uroczystość pochowania zwłok.

* *
*

Tego dnia rankiem, mimo dotkliwego zimna i wiatru, który srożył z niebywałą siłą, tysięczne rzesze ludności zjawiły się przed pałacem cesarskim i stojąc odprawiały modlitwy.

Po tradycyjnem nabożeństwie, kondukt żałobny powitany 101 wystrzałami armatniemi, udał się do świątyni szyntojskiej, gdzie odbył się ostatni akt tej pełnej czaru uroczystości.

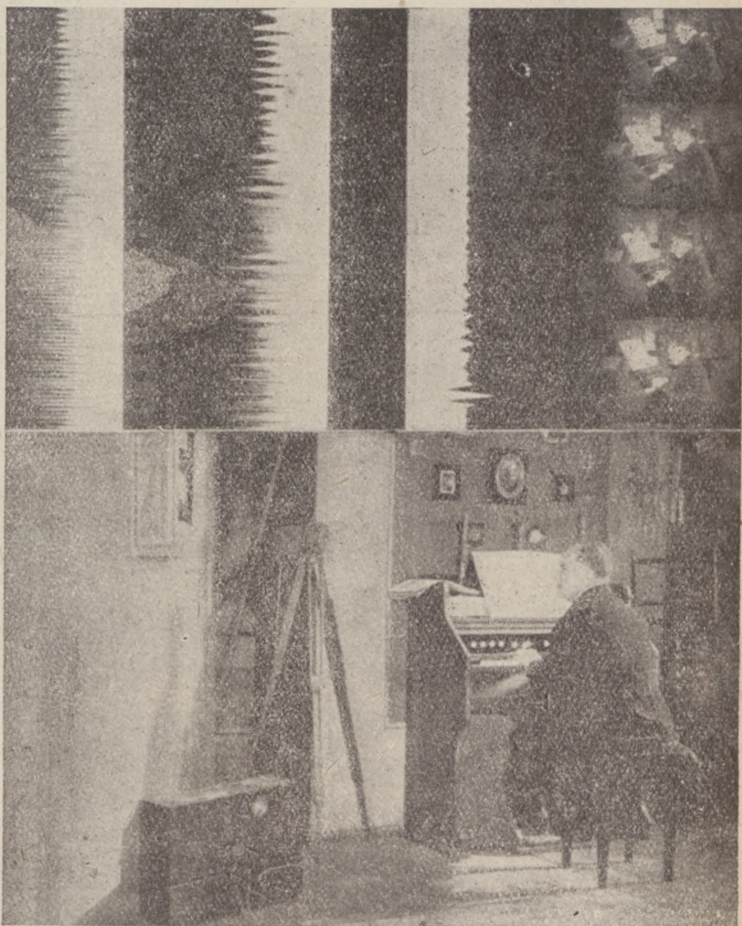
G-k.

NAUKA i TECHNIKA

Mówiący film.

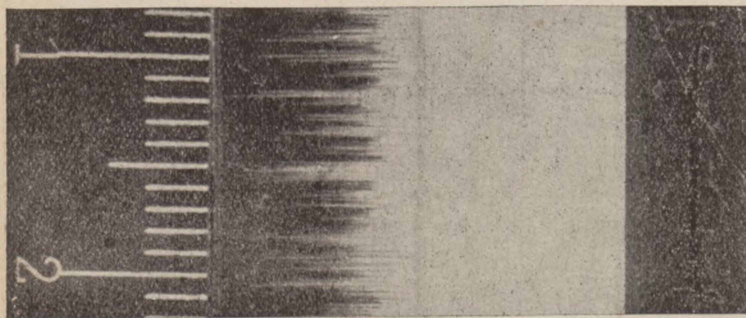
Pierwsze próby rozwiązania problemu mówiącego filmu datują się już od roku 1918, gdy trzej inżynierowie niemieccy, Jan Vogt, dr. Jo Engl oraz Józef Massote zawiązali między sobą spółkę p. f. Tri-Ergon celem eksploatacji wspólnego wynalazku. Zagadnienie, o którem mowa, polega, podobnie jak w telewizji (patrz nr. 4 M. P.), na przekształceniu fal dźwiękowych, akustycznych na klisze, z których następnie otrzymywać można wrażenia słuchowe. Niedokładności i brak precyzji, zarówno w synchroniźmie obrazów i głosów, jak również w usuwaniu szmerów pasożytniczych, zostały usunięte przez dwóch uczonych duńskich Petersena i Poulsena, o których z wielkiem uznaniem wyraża się prasa całego świata.

Zapoznamy się bliżej z istotą ich wynalazku. Podobnie jak w telefonji, mikrofon, wiszący na scenie, odbiera fale dźwiękowe i przekształca je na słaby prąd elektryczny o zmiennem natężeniu. Kabel, idący od mikrofonu, połączony jest z oscylografem czyli galwanometrem zwierciadłowym. Lusterko, znajdujące się w przyrządzie, odbija stale światło silnej, zwykłej lampy żarowej. Zależnie od natężenia



U góry: z lewej strony klisza foto-akustyczna, z prawej właściwy film *U dołu*: aktor grający przed mikrofonem.

prądu płynącego przez oscylograf, zwierciadełko waha się mniej lub więcej i odbija nieregularnie ślizgający się po jego powierzchni promień lampy elektrycznej. W ten sposób odbite światło pada na kliszę filmową, pozostawiając na jej emulsji ostro zarysowane linje, które w zależności od siły prądu, a więc intensywności i częstotliwości głosu, dochodzą nieraz do całej szerokości obrazka filmowego (patrz rysunek). Jak niezwykle dokładną jest taka metoda postępowania może udowodnić fakt, że pod mikroskopem dostrzec można około 80000 wahań, przypadających na sekundę filmowania!



Powiększona klisza foto-akustyczna, przedstawiająca wyraźnie ostre rysy linij dźwiękowych.

„Oko elektryczne“, służące do przemiany zmiennych linij dźwiękowych, stanowi komórka selenowa. Komórka ta posiada własność zmiany swego oporu elektrycznego pod wpływem światła (patrz nr. 4 M. P.) i odwrotnie świeca mniej lub bardziej intensywnego w zależności od natężenia prądu przez nią płynącego. Produkcja więc dźwięków ma przebieg następujący: przez zygzakowate linje fonogramu (pierwotnego zdjęcia fal dźwiękowych) przebijają się promienie świetlne i padają na znajdującą się obok komórkę selenową. Komórka ta zmienia swój opór elektryczny, zależnie od intensywności światła w wywołuje zmienny prąd elektryczny w obwodzie, w skład którego sama wchodzi. Tak otrzymane wahania prądu zostają odpowiednio wzmocnione przy pomocy zwykłych radjowych wzmacniaczy lampowych (niskiej częstotliwości) i doprowadzone do normalnego głośnika, znajdującego się w sali kina lub teatru obok ekranu.

Precyzja tego nowego wynalazku jest tak doskonała i jednoczesność wrażeń wzrokowych i słuchowych doprowadzona do tak krańcowego realizmu, że nie dziwimy się wcale, słysząc zamieranie ostatnich dźwięków arji w chwili, gdy zamykają się usta śpiewającej artystki.

B. Peters.

„Mój Przyjaciel“ młodzież kocha
Serdecznie i szczerze!
Młódź poważna czy też płocha
Znajdzie rzeczy, które kocha
Na jego papierze.

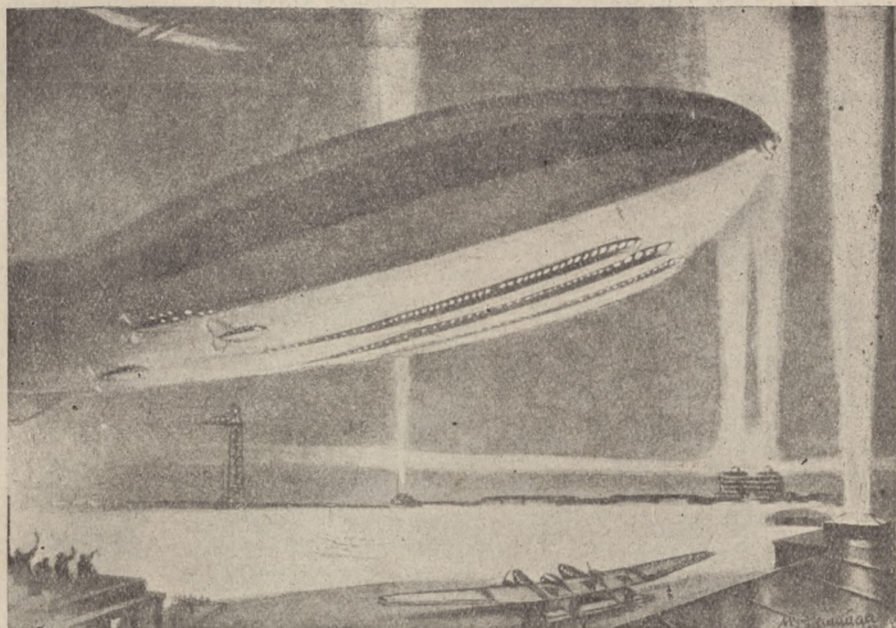
„Mój Przyjaciel“ lubi koła
Szerokie i duże;
Lubi gdy się pieśń wesoła
Z szerokiego ozwie koła
I mijają burze.

„Mój Przyjaciel“ krztałci ducha.
Wzmacnia wątłe ciała,
Z ospałego czyni zucha,
Ćwicząc ciało, kształcąc ducha:
Zasługa niemała!

„Mój przyjaciel“ nastrój wnosi,
Smutnych rozwesela...
Lubi młodzież, tedy prosi,
Gdy wesoły nastrój wnosi:
Czytaj „Przyjaciela“

Awjatyka.

Z Friedrichshafen (Niemcy) sygnalizują nowe arcydzieło. Za kilka tygodni opuści tamtejszą stocznię ZEPPELIN-olbrzym, przeznaczony do stałej komunikacji między Europą a Ameryką. Wyposażony w najnowsze urządzenia, najwygodniejsze apartamenty, pomieści on na swym pokładzie 40 (czterdziestu)! pasażerów, dając im wszelkie wygody na czas jazdy. Wspólna luksusowa sala jadalna, zarazem koncertowa i balowa, radjo, umożliwiające poza komunikacją z lądem, odbieranie audycyi koncertowych, oddzielne kabiny sypialne, to tylko cząstka przewidzianego komfortu. Słowem, napowietrzny ten kolos będzie pierwszym latającym statkiem, przeznaczonym dla szerokiej publiczności, a dającym tę samą swobodę ruchu, co morski.



Przywykliśmy już obecnie do wszelkich nowości, nie zadziwiają nas wcale najekscentryczniejsze wymysły ludzkie, a jednak wiadomość ta zastaje nas nieprzygotowanych. Czyż to znowu rozpoczyna się rywalizacja balonów z aeroplanami? Czyż los ich nie jest przesądzony już dawno? Jednak sprawa ta nabiera dziś właśnie aktualności: aerostatek teraz dopiero wypływa na porządek dzienny. Kto nie pamięta lotu statku Z. R. 3. w roku 1924 z Niemiec do Ameryki! Historyczny ten lot zadecydował o losie balonów.

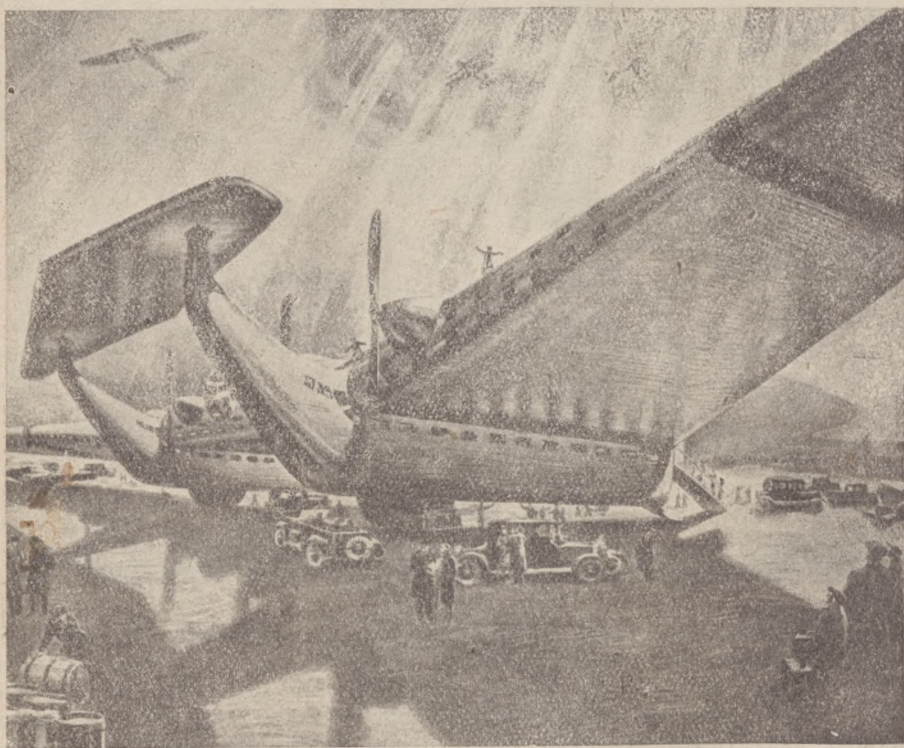
Ciekawą jest historja lotnictwa wogóle. Nie do wiary wprost, iż do wybuchu wojny światowej na tem polu nic jeszcze nie zdziałano. Loty powietrzne uważano wówczas za szczyt bohaterstwa, prób dokonywano z bezustannem narażaniem życia, a wymagały one nadto faktycznego poświęcenia się. Wobec tak nikłych rezultatów, jakie wtedy na tem polu osiągano, jedynie fanatyczna wiara „ideowców" ideę tę podtrzymywała.

Wojna wszystko zmieniła. Wobec tego wielkiego ryzyka, zaginęły mniejsze. Potrzeba podpatrywania nieprzy-

jaciela i niestety nie samego tylko podpatrywania, ale i tępienia, rozwinęła awjatykę do kolosalnych rozmiarów. Materjał ludzi - ryzykantów był ogromny i stale do rozporządzenia, a jeśli do naukowych badań w tym kierunku środków materjalnych przedtem nie było, obecnie — dla tak „pożytecznego“ sprzętu wojennego— mobilizowano wszystko. Tej dziedzinie nauki wojna przysłużyła się bez miary.

Dziś korzystamy z doświadczenia, nabytego w tym okresie. Kwestja—balony czy aeroplany, wówczas właśnie była na porządku dziennym; praktyczność jednego czy drugiego miała zadecydować o wyborze. Pouczające jest zestawienie użyteczności obydwu typów. Przytoczyć już tu możemy i późniejsze doświadczenia w tym względzie, więc po dzień dzisiejszy.

Zacznijmy od lżejszego typu. Określenie to samo mówi za siebie. Aeroplan w porównaniu z balonem jest istną zabawką. Lekki, zwinny, da się użyć zarówno do celów wywiadowczych, jak transportowych. Dzisiejszy typ aeroplanu handlowego osiągnął pod tym względem rekord, jednocząc zalety lekkiej konstrukcji z wytrzymałością. Używa się go więc dla celów pasażerskich i pocztowych. Znaczna szybkość (do 200 km. na godz.) to zalety b. dużej wagi w komunikacji, pozwala nadto przezwyciężyć nawet silny wiatr i uniezależnia nas tem samem od zmian atmosferycznych. — A jednak zastosowanie aeroplanu jest ograniczone. Lot odbywać się może jedynie dniem, na



linji znanej, wytyczonej i na ograniczonej przestrzeni. 500 — 600 kilometrów to maximum drogi, jaką bez przerw przebyć nim można. Dochodzi jeszcze wzgląd na osobę kierowcy, którego siły dozwalają jedynie na lot ograniczony w czasie, a jego zmęczenie sprowadzić musi nieuniknioną katastrofę. A gdzież wygoda podróżnych? W obecnych warunkach jest ona jeszcze bardzo ograniczona, chociaż

i pod tym względem osiąga się z każdym dniem nielada postępy.

Przeciwstawmy aeroplanom Zeppeliny. Sama ich nazwa, która się już zdołała przyjąć jako określenie balonów wszelkich typów, przywodzi nam na myśl olbrzyma powietrznego. Mając ponad 230 m. długości, a 30 m. średnicy, o 100.000 m³ pojemności gazu i powłoce sztywnej, wybija się Zeppelin przedewszystkiem swemi kolosalnemi rozmiarami. Z tego względu zastosowanie jego jest mniejsze niż aeroplanu, bo i koszty budowy wprost horendalne (około 1.000.000 dolarów) i zakładanie stacyj, hangarów dla tych kolosów nie wszędzie jest możliwe i opłacalne. Widać więc z tego, że zastosowanie swe znajdzie aerostatek przedewszystkiem tam, gdzie idzie o przebycie wielkich odległości, w tych zaś warunkach nie ma on konkurenta. Zwykłe zestawienie przekona nas o tem zupełnie.

Będący właśnie na wykończeniu statek, przeznaczony jest dla utrzymania stałej komunikacji między Hiszpanją a Ameryką Połud., na linji Sevilla — Buenos Aires. Niema dotychczas innej możliwości, jak przeprawienie się okrętem, a podróż ta wymaga przy dzisiejszej, dość znacznej szybkości 2—3 tygodni. Niema więc wątpliwości: linja powietrzna, umożliwiająca przedostanie się z kontynentu poprzez Atlantyk w ciągu 3 dni ma pewną przyszłość, zwłaszcza na takich przestrzeniach.

Mniejsza szybkość balonu w stos. do aeropl., wynosząca przeciętnie około 100 km. na godz., nie odgrywa znaczniejszej roli wobec tak widocznych korzyści, jakie balon daje. Dochodzą jeszcze względy techniczne: personel obsługujący może być większy, pracować na zmianę, a okoliczność ta zwiększa bezpieczeństwo statku, który nie jest w tym wypadku uzależniony od sił, nerwów i wytrzymałości lotnika. Obciążenie statku jest prawie bez granic. Do 40 ton balastu dopuszcza się już obecnie, przyczem najnowsze ulepszenia techniczne zastąpiły benzynę specjalnym gazem popędowym; odpada więc ładunek 20.000 kg. benzyny, a gaz jej miejsce zastępujący, umieszczony w ⅓ części górnej powłoki, sam siebie niesie, umożliwiając zarazem zmniejszenie balonu. Wkońcu wygody, przewidziane dla pasażerów, przewyższają wszystko, co kiedykolwiek dać nam będzie w stanie aeroplan.

Widzimy więc, że zarówno aeroplan, jak aerostatek mają swe zalety i wady. Każdy z nich ma swój ściśle ograniczony teren działania i tak wytknięty, by wszelkie zalety systemu rozwinąć można, a braki obejść. Tak ujęte zagadnienie powoduje, że oba typy, miast wejść ze sobą w walkę konkurencyjną, czego zwolennicy każdego z nich się obawiali, świetnie się uzupełniają, gdyż zakres działania jednego tam się właśnie zaczyna, gdzie misja drugiego się kończy i vice versa. Ciągłe udoskonalenia w budowie całości i części, a wprowadza się ich mnóstwo, idą w kierunku umożliwienia ścisłego „podziału pracy“. Odmienne są więc drogi, po których zdążamy w jednym lub drugim wypadku.

Zeppeliny wyposażamy przedewszystkiem w motory, im więcej i im silniejsze, tem lepiej, a dochodzi już dziś ich siła do 2400 HP i więcej. Zwiększa to ich nośność i umożliwia przebywanie w przestworzach przez kilka dni.

Inne są drogi rozwoju aeroplanów. U nich zmniejszamy siłę motoru, aby mu ująć wagi, gdyż tu ideałem osiągnięcie najlżejszego typu. Ostatnie loty na aparacie o sile 20 koni są niebywałym rekordem. Nowy ten system da nam możność badania górnych przestworzy, zapoznania się z zupełnie nieznanemi jeszcze regjonami, znów pchnie naukę na dalekie, wcale nieprzewidziane tory.

Wykazaliśmy w pow. artykule pokrótce drogi, jakie się przed awjatyką na przyszłość otwierają. Każdy wynalazek, każde ulepszenie, jakkolwiek względami naukowemi dyktowane, znajduje rychło zastosowanie praktyczne, nadaje nowy kierunek naszemu życiu, nowe stwarza horyzonty. Co nam najbliższa przyszłość przyniesie, nie sposób osądzić.

W ilustracjach podajemy wizerunek aerostatku i aeroplanu, jednego i drugiego typu środków lokomocji napowietrznej w tym stanie, jak go sobie fantazja na przyszłość buduje.

DEBE.

TO i OWO

Dwudziestocztero-godzinny król.

W połowie przeszłego stulecia Ehcyme, kupiec angielski, prowadził handel między Chinami i Karolinami. Kupował on u mieszkańców wysp perły, dając im wzamian materjały, narzędzia rozmaite i broń. Szczęście nie sprzyjało mu jednak: został zabity bronią, którą sam wyspiarzom dostarczył.

Aby zażądać zadośćuczynienia zjawił się angielski statek wojenny „Perseusz" przed Corrovem. Kapitan okrętu, Stevens, kazał oznajmić miejscowemu królowi Abbatulli, że Wielka Brytanja czeka na natychmiastowe pociągnięcie morderców do odpowiedzialności.

Ślepy strzał wywołał pożądane dla Anglików wrażenie. Król Abbatulla zwołał co rychlej radę swych bronzowych ministrów. Na wniosek tej rady postanowiono zabić jednego z morderców, aby przejednać ducha Ehcyme'go. Gdy kapitan Stevens nie zgodzi się na owe „przebłaganie ducha" i żądał ... dal wydania morderców, wojownicy Abbatulli przyprowadzili jednego z rodaków na pokład okrętu.

Ten złamał, w przedśmiertnym strachu, wierność poddańczą i powiedział, że sam król Abbatulla kazał mu zamordować Ehcyme'go. Kapitan Stevens zażądał tedy stracenia króla.

Gdy rada bronzowych ministrów zgodziła się na to, w Stevensie obudził się zmysł polityka: polecił wyrok śmierci wykonać własnoręcznie prezydentowi ministrów. Lejtnant z 10-ma ludźmi został wysłany na ląd, aby być świadkiem egzekucji. Uniformy, komenda, paradny marsz angielskich żołnierzy — uczyniły na bronzowym narodzie wielkie wrażenie. Naród ten stał szacunkiem i podziwem tknięty, gdy dziesięciu mężów wzięło w środek króla Abbatullę i zawiodło go na plac stracenia.

Wtedy przyłożył prezydent ministrów swoją broń do ramienia, wypalił i trafił nieszczęśliwego władcę w samo serce. Oczy osieroconego tłumu zwróciły się na okazałego lejtnanta i, jak z jednych ust, ozwał się okrzyk: „Niech żyje nowy król!"

Anglik jest zawsze panem sytuacji: lejtnant przyjął koronę i rozkazał natychmiast złożyć sobie daninę. Tłumy wnet chętnie jęły znosić na pokład kury, jajka, owoce i inne produkty. Gdy okręt zaś należycie został zaprowiantowany, wtedy zrzekł się nowy król swej południowej korony i jako zwykły lejtnant odpłynął zpowrotem do Anglji.

Maska nad wulkanem.

Do tej pory maski do gazów były używane tylko podczas wojny i w okolicznościach wyjątkowych, jak przy wybuchu, pożarze i t. p.

Jednakże zaczęto je stosować również do innych celów. Jak donoszą dzienniki, rząd Nicaragua zaprojektował niedawno temu nałożenie maski nad.. wulkanem Massaya, celem przeszkodzenia wydobywaniu się gazów trujących.

Ludność, zamieszkująca okolice tego wulkanu, jest ciągle narażona na niebezpieczeństwo b. częstych wybuchów.

Na wniosek rządu pewne towarzystwo niemieckie podjęło się przeprowadzenia odpowiednich robót. Zbuduje ono mianowicie nad kraterem odnośnego wulkanu trwałą maskę murowaną, a obok niej zainstaluje fabrykę, której wyłącznym celem będzie wytwarzanie odpowiednich produktów chemicznych, te zaś po zmieszaniu z wydobywającym się gazem, uczynią jego działanie nieszkodliwem.

Towarzystwo, zajmujące się temi robotami, projektuje również skonstruowanie potężnych wentylatorów i jeżeli zajdzie tego potrzeba, wybudowanie wielkiej klapy bezpieczeństwa, która automatycznie będzie działała z chwilą wybuchu wulkanu.

Pierwszy detektyw.

W Tylburne, publicznem miejscu straceń w Londynie, został 24 maja 1725 r. powieszony jakiś człowiek, nazwiskiem Jonatan Wild. Jemu bezwątpienia należy się sława pierwszego detektywa. I choć pierwszy to był wprawdzie detektyw, to jednak przetrwał, jako jeden z najwybitniejszych.

Wild dopomagał wdowom i sierotom powracać zpowrotem do swych bogactw i własności, okazując przytem wielką bezinteresowność, oczyszczał on ulice od opryszków, napełniał więzienia i trybunały; uwolnił społeczeństwo od niejednego hultaja, a przytem zaś wszystkiem publiczną było tajemnicą, że Jonatan Wild sam często bywał w kolizji z prawem.

Był on naczelnikiem i protektorem bractwa londyńskich złodziei i rozbójników, którzy działali według jego wskazówek, przyczem podzielił Londyn na okręgi, a każdy z jego spólników - złodziei mógł kraść tylko tam, gdzie był przeznaczony. Ale biada złodziejowi, który chciał oszukać pana Wilda: temu prawie zawsze groził stryczek. Odnosiło się to przeważnie do tych, którzy nie przylgnęli do jego bractwa.

„Najznakomitsi" złoczyńcy miasta mieli obowiązek donieść mu o każdej kradzieży popełnionej w Londynie, jak również o miejscach ukrycia skradzionych rzeczy. W ten sposób czyni on wszystkich, którzy kradli od siebie zależnymi. Przy pomocy zaś innych hultajów wyszukuje okradzionych i za pewną, określoną sumę pieniędzy wraca im zagrabioną własność.

Wild staje się niezbędny dla mieszkańców miasta, równocześnie zaś zostaje królem wszystkich rzezimieszków. Zczasem jednak sprawki jego stały się powszechnie znane.

Według prawa parlamentarnego powieszonym mógł być nietylko złodziej i przechowywacz złupionych rzeczy, lecz i ten, który pod pozorem zwrócenia okradzionemu jego dobra i mienia, przyjmował odeń pieniądze. W więzieniu, przed straceniem, napisał Jonatan Wild swoją „mowę śmierci" która była potem sprzedawana na ulicach:

„Niewdzięczność jest cechą waszą, londyńczycy! Ślepi, nie dostrzegacie tego, com dla was uczynił.. Lecz przyjdzie czas, żal się za późno objawi... daremnie będziecie wołać: Ach! gdybyśmy jeszcze mieli naszego Jonatana!"

Fantazje miljonerów.

Wiljam Wanderbild, posiadacz kilkunastomiljonowej fortuny (w dolarach) zgłosił prośbę o miejsce gońca bankowego. Pracuje z zapałem, co mu nie przeszkadza wieczorem odjeżdżać wspaniałem autem do podmiejskiej swej posiadłości, Bacon-Hill, gdzie prowadzi królewski tryb życia.

Podobne fantazje często się zdarzają u amerykańskich potentatów finansowych. Np., miljoner James Eads How stał się „wyrobnikiem" i zarabiał na chleb, rąbiąc drzewo i wykonując wszelką robotę za „dach nad głową i pożywienie".



Bogaty Edward Brown wyrzekł się wygód, by jąć się najcięższej pracy fizycznej. Nocował w przytułkach lub pod mostami. Ale on miał cel, do którego dążył, a mianowicie, chciał sam zgłębić do dna nędzę biedaków i jednocześnie zbadać sprawność instytucyj dobroczynnych.

Niedawno znowu jakiś arcymiljoner przebył drogę do Europy jako palacz na okręcie.

Rycina nasza przedstawia syna arcymiljonera, barona de Forest, który naprzekór ojcu wziął się do „pracy" i zarabia na utrzymanie, jako portowy tragarz. Młody baron John de Forest będzie prawdopodobnie pracował tak długo, aż mu się nie „znudzi": mieszkanie i utrzymanie ma bowiem zapewnione.

Szczery żal.

O Ludwiku I, królu bawarskim, słynnym, oryginale, znanym z licznych anegdot opowiada Varnhagen w swoim dzienniku następującą historyjkę:

Wkrótce po śmierci królowej Karoliny będący po niej w żałobie król, spostrzegł w Monachjum spensjonowanego haskiego prezydenta Köchera, prowadzonego na spacer przez dwu służących.

Gdy król spostrzegł, że spodnie Köchera były jasnego koloru i nie zgadzały się przeto z przepisową żałobą dworską, podszedł do niego i podniósłszy palec krzyknął patetycznie „spodnie, spodnie!" Wtedy rozgniewany dyplomata Köcher odpiął marynarkę, i ukazując pod nią czarną kamizelkę, odpowiedział równie patetycznie:

— Co tam spodnie, Wasza kr. Mość Tu — w piersi noszę żałobę — nie zaś... w spodniach!

Herbert Wells w roli wróżbity.

Jeden z najpoczytniejszych pisarzy współczesnych, sławny Herbert Wells, który zamieszcza obecnie w gazetach angielskich szereg artykułów na temat „przyszłość świata w roku 1927" nie przewidywał na pewno, że artykuły te, zamiast przysporzyć mu nowych laurów literackich, zaprowadzą go niemal do więzienia.

Zaczęło się to od tego, że naczelnik urzędu pocztowego w mieście Grass, w południowej Francji, gdzie Wells spędzał wakacje zimowe, zdziwiony był niebywałą ilością listów, otrzymywanych przez owego tajemniczego cudzoziemca ze wszystkich krajów świata. Pierwszem przypuszczeniem poczciwego, choć widocznie mało oczytanego urzędnika było, iż ma on do czynienia z jakimś wielkim rewolucjonistą, prowadzącym w drodze korespondencji swą robotę wywrotową. Wszyscy znajomi, którym pocztmistrz zwierzył się ze swych podejrzeń, podzielili jego zdanie. Nie pozostało więc nic innego, jak zawiadomić policję, co też natychmiast uczyniono; nad willą, zamieszkiwaną przez Wellsa, roztoczono baczną obserwację policyjną.

Ponieważ obserwacja w ciągu kilku dni nie dała żadnych wyników, komisarz policyjny złożył niespodzianie wizytę Wellsowi, aby go przyłapać in flagranti. Badany Wells dawał objaśnienia jawnie wymijające, na główne zaś pytanie: „Z jakiej przyczyny otrzymuje pan tak dużo listów", odpowiedział tylko: „Doprawdy, ja sam nie wiem". Lecz wszystko to nie zmyliło przenikliwości stróża bezpieczeństwa, i w swym raporcie do władz przełożonych doniósł on o Wellsie jako o „podejrzanem indywiduum, które się zajmuje widocznie przepowiadaniem przyszłości i wróżbiarstwem, i z tego mętnego źródła czerpie środki do życia".

Angielska grzeczność.

W Anglji niema zwyczaju „tykania" kogoś. „Grzeczność" jest tak wpojona w każdego Anglika, że nawet woźnica, który bije niemiłosiernie swego konia, grzecznie przemawia doń przy tem: „Go, sir!, Go sir! I say!" (Naprzód, mój Panie! Naprzód, proszę Pana)



Paszcza jednego z największych i najgroźniejszych potworów morskich na wodach Nowej-Zelandji. Olbrzymi ten MAKO — schwytany został podczas ostatniej z licznych podróży morskich księcia Yorku. Podwójny szereg ostrych i mocnych jak stal zębów, wzbogacił kolekcję pamiątek księstwa York.

EKRAN

CZŁOWIEK, NIEZNAJĄCY ŚMIECHU.

(Buster Keaton o sobie).

Dziwne bywają koleje życia: sprzeczność i paradoks rządzą często wypadkami i ludźmi. Ciekawym tego przykładem może posłużyć biografja jednego z największych współczesnych artystów filmowych, opowiedziana w krótkich słowach przez niego samego. Człowiek ten — którego zawód polega na bawieniu ludzi — nie zna sam śmiechu: twarzy jego, skupionej i nieprzeniknionej tak dalece, że wydaje się aż sztywną, nie rozświetla nigdy promień uśmiechu — a mimo to, jakby dla potwierdzenia paradoksalności życia, od najmłodszych lat był on powołany właśnie do bawienia i wywoływania śmiechu u innych!

Dziwny ten człowiek, o wiecznej zadumie w oczach, wiecznie poważnie zwartych ustach, urodził się w namiocie cyrkowym w osadzie Pickway, podczas jednodniowego przedstawienia, jakie dawał tam właśnie ojciec jego wraz z niejakim Harry Kondini'm i jego trupą. Po dwutygodniowym zaledwie pobyciu w miejscu, gdzie przyszedł na świat, udaje się młodociany artysta na wędrówkę z cyrkiem, która potrwa pełnych dwadzieścia lat!

Oto, licząc zaledwie kilka tygodni, rozpoczyna swą karjerę sceniczną, biorąc udział w małym obrazku, spreparowanym przez Harry Kondini'ego, grającego w nim rolę lekarza. Gdy ma lat pięć, zostaje po raz pierwszy uszminkowany, a w wieku lat siedmiu bierze „czynny" udział w jakiejś mocno wulgarnej jednoaktówce, w której bywał podrzucany w powietrze lub przerzucany przez scenę, przyczem nie wolno mu było skrzywić się, ni pisnąć.

To też należy on do tych artystów filmowych, którzy bez cienia obawy i wahania podejmują się podczas zdjęć rozmaitych sztuczek akrobatycznych, wykonywanych zazwyczaj przez zawodowców.

Zdarzało się niekiedy, że mały Buster występował i w innej roli: w długich spodniach, sztywny, w kapeluszu, z laską w ręku spacerował godzinami całemi przed cyrkiem, udając „rodowitego" karła, a później ukazywał się obok ojca, jako jego minjatura.

Gdy na świat przyszło jeszcze kilkoro dzieci, cała rodzina występowała już razem pod mianem „Czterech Keatonów".

Po pewnym czasie, gdy chłopak wyrósł i nie mógł już więcej uchodzić za karła, a stał się za ciężki do podrzucania w górę, trzeba było zmienić program występów, co bardzo korzystnie wpłynęło na rozwój talentu artyycznego Keatona.

Wreszcie po dwudziestu latach tułaczki z wędrowym cyrkiem otrzymał Buster Keaton dwie propozycje, które zaważyły na jego losie: z jednej strony proponowano mu uczestnictwo w przedstawieniach nowojorskiego teatru ogródkowego z gażą 250 dol. tygodniowo, z drugiej zaś — współudział w wytwarzaniu dwuaktówek filmowych, który miał mu zapewnić zaledwie 40 dol. tygodniowo. Jakkolwiek naówczas film nie miał przed sobą tych świetnych widoków rozwoju, które urzeczywistniły się później, to jednak Buster chwycił się tej propozycji, gdyż zapewniała mu ona możliwość pozostania przez dłuższy czas w jednem miejscu. I znów spotykamy się

z paradoksem w zyciu Bustera: młodzieniec dwudziestoletni, spragniony spokoju i „zmęczony życiem"!..

Tak oto rozpoczął Keaton swą karjerę filmową. Ponieważ komedje były wtedy w modzie, zaczął od lichych fars, zaprawiając się coraz więcej w rzemiośle rozśmieszania ludzi. Po pewnym czasie poszedł do wojska i został wysłany na rok do Francji, a gdy wrócił do Hollywood, zaczął już sporządzać filmy na własną rękę.

Ciekawe są uwagi Keatona na temat gustu publiczności: na podstawie długiego doświadczenia doszedł on do wniosku, że nigdy nie można przewidzieć, jakie rzeczy spodobają się publiczności i zgóry wymyśleć takie „tricki", któreby powodowały śmiech. Objaśnia to Keaton naturą zdjęć filmowych, których się dokonywa bez udziału publiczności: brak owego bezpośredniego kontaktu z publicznością, dającego artystom scenicznym możność wpływania na widzów i przeprowadzania ewentualnych zmian nawet w trakcie gry. Film, który został wyświetlony, a nie znalazł uznania wśród publiczności, jest skazany na nieodwołalną zgubę, tem okrutniejszą, że niedającą się absolutnie przewidzieć.

I często zdarza się, że „trick'i", obmyślane zgóry w najlepszej wierze, że wywołają wybuchy homerycznego śmiechu, zawodzą najzupełniej, podczas gdy publiczność ryczy ze śmiechu przy całkiem nieuzasadnionej okazji. Jako ilustracje do powyższego podaje Keaton dwie scenki filmowe, w których brał udział. Do filmu „Marynarz", w którym grał rolę nurka, wpadło mu na myśl wstawić następujący „kawał": przepływającą obok niego ławicę ryb (oczywiście, gumowych) w kierunku, powiedzmy, ze wschodu na zachód, postanowił zatrzymać jednym ruchem ręki, niczem policjant, regulujący ruch uliczny w tym celu, aby jedna jedyna rybka, zdążająca „z północy na południe" mogła sobie swobodnie przepłynąć. Następny ruch nurka miał służyć jako sygnał dla ryb, które ruszały dalej, wszystko to, wykonane przy pomocy przemyślnego aparatu, przedstawiającego pompę tłoczącą — w przewidywaniu, że obudzi śmiech u publiczności — chybiło najzupełniej. Natomiast scena, w której Keaton, jako nurek, nachyla się, aby obmyć z mułu ręce w wiaderku drewnianem, przypadkowo znalezionem na dnie morza — wywołała wybuch śmiechu całej publiczności.



Nowa gwiazdeczka filmowa. Towarzystwa filmowe są niestrudzone w odkrywaniu nowych gwiazdeczek, które może wkrótce sławę swą przewyższą Coogana i Baby Peggy. Oto nowe cudowne dziecko: czteroletnia Jane Darling z New-Jorku.

Trudna to rzecz przewidzieć, co budzi śmiech u ludzi, zwłaszcza człowiekowi, który sam nie zna śmiechu...

Amator — Fotograf.

Otwieramy nowy dział. Tworzymy to, o co czytelnicy nasi dopominają się od długiego już czasu, nareszcie ze skutkiem. Wybraliśmy porę odpowiednią: kalendarz wykazuje, że winno być już lato, a w tym okresie poruszona kwestja zainteresuje nietylko tych, co już za sobą dłuższą praktykę amatora mają, ale i innych zwerbuje, przysporzy sprawie *nowych zwolenników*. Czy i do tych specjalnie wystosować apel? Zdaje się zbyteczny, raz w tym kierunku pobudzona myśl, sama pracuje, aż cel osiąga.

Kto z nas nie przegląda z chęcią albumu fotograficznego. Co to jednak za rozkosz prawdziwa, jeśli własne zdjęcia go zapełniają, a przyjemność ta wprost niema granic, gdy zdjęcia nasze ilustrują momenty własnego życia, ubiegłych miłych chwil, które sobie chętnie przypominamy. Spodziewamy się zatem znaleźć grunt podatny u wszystkich czytelników. Dążność do utrwalenia pogodnych chwil życia, pięknego tła drzemie w każdym z nas; dać komu aparat do ręki, a rozwiniemy w nim łatwo ten sentyment ukryty.

I nic w tem dziwnego. Niema sportu, któryby mógł dać tyle długotrwałej przyjemności, co fotografowanie, a niema miejsca, niema okoliczności, których byśmy nie mieli ochoty „uwiecznić“. Silne to w nas i nieprzeparte pragnienie, a odzywa się stale tam, gdzie nastrój podniosły, atmosfera, warunki dokoła nas miłe i wszystko to daje wrażenia najlepsze, stwarza pogodę dokoła i w nas. Aparat wtedy nastawić, uchwycimy życie w najpiękniejszej fazie i mnóstwo emocji, naj rozkoszniejsze przeżycia zatrzymamy na wieki, na osłodę własnego życia i jako drogą niejednokrotnie pamiątkę potomnym.

Powody, dla których ten lub ów rozpoczyna działalność amatora fotografa są najrozmaitsze. Nie w małym stopniu kieruje nami właśnie ta chęć dokonywania zdjęć okolicznościowych, utrwalania na kliszy nastrojów z nami związanych, jak i nazewnątrz, z przyrody, z techniki, z życia całego, które dokoła pulsuje.

Takich jest najwięcej. Na drugim dopiero planie (liczebnie) stoją ci, którym przy takiem podpatrywaniu przyrody *względy artystyczne* przyświecają. Mniejszy to odsetek wśród amatorów, gdyż ten tylko będzie w stanie zpomocą kamery swej obrazy z życia artystycznie ująć i oddać, *w kim zdolność ta tkwi, komu artyzm przyrodzony.*

My, reszta, starajmy się przynajmniej nie wchodzić w kolizję *z estetyką*. Zjednywać możemy dla naszego dorobku „kliszowego“ pewnym umiarem, a pod tym względem przestanie grzeszyć ten, kto *zasady* fotografji, technikę wykonywania zdjęć *poznał* gruntownie i do czynu zabierze się ze znajomością rzeczy, a ona partactwu zapobiegnie.

Lecz niechaj nie sądzi nikt, że gruntowna znajomość zasad fotografji wymaga koniecznie długich i żmudnych studjów, przygotowań. Tak w gruncie rzeczy nie jest. Sprawa ta *nie jest wcale trudna* ni skomplikowana; wystarczy zapoznać się z zasadami fotografji i fotografowania — te znać trzeba koniecznie—a ułatwi to w znacznej mierze posługiwanie się aparatem, dokonywanie zdjęć wartościowych, niemniej uchroni przed stratami, które, zwłaszcza w pierwszym okresie „amatorstwa“, mocno kieszeń nadwyrężają. Toteż starać się będziemy dawać wskazówki celowe, naprowadzające początkującego na właściwą drogę, a kierować się będziemy również oceną samych czytelników, ich opinją i potrzebami.

Bardziej zawiłe, a jednak przystępne szczegóły poprzedzimy „lekcją“ (tylko się nie przerażać, nie pachnie szkołą) *o aparacie samym*, polecimy go Waszej pieczy, by mieć tę pewność, iż przetrwa on ten nasz „kurs“ i stanie się wiernym przyjacielem Waszym. O tem więc w następnym artykule.

DEBE.

S P O R T

TUNNEY CONTRA DEMPSEY.

Świat bokserski oczekuje z napięciem terminu wrześniowego, w którym ma nastąpić spotkanie najtęższych zapaśników świata w Filadelfji. W związku z tem wypływają dwa przodujące nazwiska: Tunney i Dempsey. Interesujący się sportem bokserskim, pamiętają zapewnie o porażce b. mistrza boksu Dempseya w walce z Tunney'em, odbytej we wrześniu ub. r. w Filadelfji. Było to niespodzianką dla wszystkich obznajomionych z tym działem sportu, gdyż Jack Dempsey uchodził dotąd za niepokonanego. Toteż na temat Dempseya kursowały później najrozmaitsze wersje, zajmujące się najintymniejszemi sprawami championa. I dowiedzieliśmy się wtedy m. inn., że młoda jego małżonka, która miała się nim rzekomo zainteresować jedynie ze względu na jego popularność i przodujące stanowisko w boksie, rozczarowana tą klęską, opuszcza swego męża. Oczywiście „kaczka" dziennikarska. Nie więcej prawdy zawierały enuncjacje o prawdopodobnem przejściu Dempsey'a do filmu i zerwaniu na zawsze z zawodnictwem sportowem. Pokazywano nam go nawet w ilustracjach, przygotowującego się do nowego zawodu, lecz i te wieści okazały się przedwczesne. Dempsey zostaje przy boksie. Dowiadujemy się o tem od jego zwycięzcy Gene Tunney'a, a opowiada on to w tak pięknej formie, że porywa nas wprost ten takt zwycięzcy, ta rzadko dziś spotykana kurtuazja wobec pokonanego. W naszych czasach prawie każdy zwycięzca wywleka wszelkie prawdziwe i urojone wady i braki pokonanego na światło dzienne, aby tem piękniej uwydatnić własną, nie zawsze pierwszą klasę. Jakże więc inna, miła i ogromnie ujmująca atmosfera bije z wynurzeń Tunney'a. Zaczynamy wierzyć, że sport — ten prawdziwy, entuzjastyczny — gotów uzdrowić charakter ludzki, pozbawić go przywar, ciasnoty, drobnostkowości. Oby ta dodatnia jego strona z całą mocą wycisnęła piętno na naszem życiu osobistem i grupowem.


Gene Tunney.

Lecz oddajmy głos Tunney'owi, warto go posłuchać. Zdradza on przedewszystkiem, iż zwycięstwo nad Dempsey'em kosztowało go więcej, niż ktokolwiek z widzów mógł był zauważyć. „Uderzenia Dempsey'a", powiada, „były tak silne i trafne, że jeśli nawet zwyciężyłem, było to zwycięstwo Pyrrusowe: wyszedłem z niego połamany na ciele, ale to kompletnie. Silne uderzenie w szczękę, któremu zapobiegłem, nadstawiając mu szyję, spowodowało pęknięcie żyłki, a w następstwie wewnętrzne krwawienie dość silne, które mię wprost dławiło, gdyż musiałem krew łykać, by

publiczności się tem nie produkować. Nie obeszło się też bez skutków: 36 godzin po tem spotkaniu nie byłem w stanie nawet wody przełknąć, a jeść nie mogłem dłużej jeszcze. Nadto prawdziwie „połamane kości“ moje wymagały 2 tygodniowej rekonwalescencji, tyleż czasu całe ciało pokryte było jedną dużą siną plamą; oto skutek zetknięcia się z żelazną pięścią Dempsey'a.

A przecież dziwi Was, żem go pokonał? To była tylko nagroda za długą i cierpliwą obserwację mistrza, gdyż wkońcu udało mi się znaleźć piętę Achillesową Dempsey'a. Zdołałem go podpatrzyć w walce. Zmiarkowałem, iż najłatwiej go będzie pokonać, wytrąciwszy z równowagi, gdyż walcząc, przez cały czas trwania zawodu stoi na palcach, gotów do wypadu, co nadaje jego uderzeniom ogromny impet i siłę; jeśli go zaś zmusić do wyjścia z pozycji, do jakiej przywykł i stawania na całej stopie, sposób ten znuży go wkrótce i zwiększy szanse przeciwnika. Tym sposobem walczyłem: plan się powiódł, tytuł mistrza przypadł mi w udziele“.



Nadzwyczajny bieg. Murzyn Billy Robinzon — student Uniwersytetu w Hardward — genjusz biegu — biegnie wtył prędzej, aniżeli jego koledzy wprzód.

Przyznaje się więc Tunney do pewnego tricku, z całą szlachetnością obniża klasę swego zwycięstwa, aby tylko ujmy nie przynieść mistrzowi, którego sam uznaje za niepokonanego i dla którego najlepsze żywi uczucia i wdzięczność.

Karjerę swą zawdzięcza bowiem Tunney właśnie Dempseyowi. Gdy kilka lat temu — Dempsey już wtedy zdawna prym wiódł w boksie i już wówczas za niepokonanego uchodził — po raz pierwszy danem było Tunney'owi spotkać go na turnieju, mistrz zainteresował się nim, jako adeptem sztuki bokserskiej i tak go sobie umiał zjednać swą bezinteresownością, chętnie i po ojcowsku udzielanemi radami, a nawet treningiem i tą szczerą, szeroką duszą, jaką posiada, że dziś nawet, gdy mistrza poniekąd prześcignął, a w każdym razie tytuł mu odebrał, szlachetna sylweta pokonanego nietylko się w nim nie zatraca, lecz jeszcze większej siły i wyrazistości nabiera; kreśli on więc obraz swego mistrza z takiem oddaniem, że miło go słuchać.

Jeśli się tak o sobie przeciwnicy wyrażać umieją i same jasne strony charakteru objawiać, piękny to dowód szlachetności obydwu dusz.

Coś się w nas kruszy. Uważaliśmy boks dotąd, jeśli już za sport, to sport dziki, okrutny, nieludzki. Z małemi wyjątkami określenie to nadal w całej rozciągłości da się zastosować, a jednak widocznie zapaśnicy się zmienili, zmienia się zapewnie zwolna i sposób walki. Czy jest to tylko przejściowe zjawisko, czy też lepsza zapowiedź na przyszłość, wnet się okaże: na wrzesień wyznaczone jest spotkanie 5-ciu przodujących w boksie nazwisk: DELANEY, SHARKEY, MALONEY, DEMPSEY i TUNNEY, zbliża się więc termin, w którym coś pewniejszego w tej mierze ustalić będzie można.

DEBE.

Adolf Dygasiński

(w 25 letnią rocznicę śmierci)

Dnia 3 czerwca 1902 roku zmarł Adolf Dygasiński, urodz. w Niegosławicach, ziemi krakowskiej w r. 1839. W ciągu dwudziestoletniej twórczości literackiej wydaje około 30 tomów powieści i nowel. Tę bogatą dość spuściznę podzielić można na trzy części, z których najwybitniejsze stanowią nowele, oparte na życiu zwierząt. Popularne i sympatją cieszące się powieści i obrazki ludowe zajmują część drugą. W ostatniej zaś, najbardziej krytykowanej i istotnie najsłabszej, jawią się powieści społeczne, obrazy życia warstw wyższych.

Jedną z najistotniejszych zasług Adolfa Dygasińskiego jest wniknięcie w psychologję zwierząt, zróżniczkowanie wnętrz zwierzęcych, wyprowadzenie na arenę literacką nie typów zwierzęcych (jak u Kiplinga) lecz osobników, charakterów.

Dygasiński znał, rozumiał i kochał przyrodę. Nie miał wogóle daru wnikliwej intuicji, lecz wczuwał się znakomicie w natury prostotą swą pierwotne, w dusze niezłożone chłopów, ich dzieci, ich zwierząt. Ów pedagog-przyrodnik, ścisły naturalista i pozytywista był poetą z przyrodzenia; poetą, którego dusza wyśpiewywała pean na cześć życia, na cześć wszechmiłości.

Dygasiński nie operował wytwornemi środkami artystycznemi, nie potrafił ślizgać się zręcznie po salonach i strzyżonych parkach. Jego plastyczny język paru nieraz słowami maluje znakomicie krajobraz i stawia przed oczy czytelnika galerję postaci wyraźnych, jasno zarysowanych. A niech przemówią te postaci swoją gwarą, to stanie przed nami żywa wieś polska, wśród kołyszących lasów i pól! Dygasiński kochał wieś i kochał lud.

On to pierwszy wprowadza do literatury prawdziwą wieś polską, gwarę ludową i duszę chłopa. A kocha lud nietylko jako demokrata, bo jako doskonały psycholog niższych form życia rozumie wieś i czuje ją lepiej niżeli kto inny. Kocha wszystko „co swoje“, będąc głuchy na piękno poza nasze. Chwilami dochodzi do szczytów prawdziwego artyzmu, (przed r. 1902), choć naogół wrażliwość intelektualna góruje w nim nad malarską.

Publicysta i pedagog przemagał w nim często poetę, to też wiele jego utworów, powieści zwłaszcza — często szwankuje i chroma. To utwory przeważnie oparte na życiu warstw wyższych; opuszcza go tu przenikliwość spostrzegacza i ulatuje odeń świetny humor.

Można mu zarzucić nieudolność układu i kompozycji, jednakowe traktowanie wszystkich postaci, zbyt dygresyjne (naiwne czasem) oddawanie się refleksjom etc. etc. Jest jednak bezsprzecznie odrębnością literacką; życie ujmuje ze strony przyrodniczej, jako naturalista, zawsze jednak, jako poeta. Jako poeta też jest chwalcą życia pierwotnego, czującym miłość wszechistotną i wszechobecną, goniącym za duszą kosmiczną i chwytającym ją u jej źródeł. Ten trzeźwy zda się pozytywista, ten naturalista, przejęty teorją darwinowską, ten pesymista wreszcie, staje się w ostatnim, epokowym swym utworze, w którym natchnienie dochodzi do zenitu, w „*Godach zycia*“ (r. 1902) — poetą; poetą w którym miłość wszechrzeczy wygórowała nad innemi uczuciami, artystą, w którym objawia się panteistyczna sympatja do świata.

W 25 letnią rocznicę śmierci Adolfa Dygasińskiego chcemy tą niewielką wzmianką wyrazić cześć przyrodnikowi — poecie.

Walka

Obrazek z rosyjskiej szkoły.

Piotr Erazmow nie czuł się szczęśliwy; nie był nigdy zadowolony, ni spokojny. Dni upływały mu ciężko, jedne do drugich podobne, przynoszące codzienną, twardą troskę. Wiedział, że nie pozbędzie się nigdy zawiści swych kolegów — nauczycieli, że nie potrafi zdobyć sobie sympatji uczniów, że narówni z swieżością lic, zestarzały się w nim uczucia serdeczniejsze i żywsze. Nie miał nigdy chwili spokoju: w szkole niemiłosierne musiał znosić przycinki uczniów, w domu — ustawiczne swary z lekceważącą „państwo“ kucharką, lub dającym na kredyt sklepikarzem. Bał się wypowiedzieć głośno wyraz „nędza“, ale czuł to słowo w uszach i widział je codziennie w drwiących spojrzeniach uczniów, które przeszywały i nicowały jego zniszczone, wyplamione, stare i podarte miejscami ubranie.

Pewnego ranka, kiedy szedł do szkoły, zatopiony w niewesołych myślach, pełny niechęci do zajęć i głębokiego żalu do swego losu — został nagle obryzgany błotem od stóp do głowy przez mknącą szybko dorożkę. Odwróciwszy głowę, ujrzał rozpartego w pojeździe, ucznia swego z klasy IV— Aleksandra Podgórskiego, który, jak mu się zdawało, patrzył nań z drwiącym, szyderczym uśmiechem. Dorożka, unoszona przez parę tęgich, widać dobrze odżywianych koni, zniknęła dawno już na zakręcie ulicy, kiedy Piotr Erazmow, otrzepawszy się trochę z błota, ruszył w stronę szkoły.

O! ten Podgórski oddawna już mu tkwił w pamięci. Ten frant wydmuchany, czyściutki, w nowiutkiem zawsze ubraniu, z zaczesanemi fantazyjnie włosami i wielko-pańską miną! A teraz rozparty we własnym pojeździe, jak to patrzył na niego zgóry, to uśmiechał się sarkastycznie, zdając się drwić z jego skurczonej, nędznie przyodzianej postaci i przygnębionych, wpadłych wgłąb oczu.

Nawet nie powstał! Nawet czapki nie uchylił, nawet nie przeprosił! Ale on, Piotr Erazmow, nie zapomni mu tego nigdy!

* * *

Gdy Erazmow wszedł do klasy, Podgórski, wstawszy ze swego miejsca, zbliżył się do katedry i zaczął go przepraszać za ranną przygodę, tłumacząc się żywością koni, które biegły szybkim kłusem.

„Nie mógł właśnie dlatego tylko przeprosić natychmiast pana profesora, że konie tak prędko poniosły... ma jednak nadzieję, że pan profesor wybaczy mu to łaskawie...

Piotr Erazmow nie chciał go już dalej słuchać; kazał mu pójść na miejsce, mając głębokie przekonanie, że całe przeprosiny były jeno drwinami dla rozweselenia kolegów i dania im uciesznego widowiska.

Kazawszy dyżurnemu zetrzeć tablicę, patrząc na jego leniwe ruchy i uśmiechnięte, mrugające na kolegów oczy, zanurzył powoli pióro do kałamarza, by podpisać się w dzienniku. Ledwie jednak pierwszą literę zaczął kreślić, wielki, gruby kleks padł na kartę dziennika.

— Cóż to jest? — zawołał ostrym głosem.

Wpatrzył się uważniej w kałamarz i zauważył w nim z kilkadziesiąt potopionych much. Jął wodzić gniewnemi oczyma po klasie i chwytał szydercze, nieprzyjaźne, zuchwałe spojrzenia swych małych dręczycieli.

— Co to jest, pytam po raz drugi?

— Muchy — tłumaczył się dyżurny, a nauczycielowi zdawało się, że na ustach jego dostrzega tłumiony śmiech.

— Dobrze, siadaj — sucho odpowiedział Piotr Erazmow — będziesz porządniej pilnował swych klasowych obowiązków, kiedy zostaniesz się parę godzin po lekcjach.

Po tych słowach otworzył dziennik i począł wielkim palcem przejeżdżać

po nazwiskach. Doszedłszy w ten sposób do litery P, stanął na „Podgórskim“. Oczy pociemniały mu nieco, podniósł głowę i wolno akcentując nazwisko, wyrzucił: „Podgórski do lekcji!“ Postawił mu niejasne dość pytanie, a otrzymawszy jeszcze bardziej niejasną na nie odpowiedź, jął w duszy triumfować.

— No! jakoś niebardzo nam idzie, łaskawy panie? Możeby tak coś z ubiegłych lekcyj?

Tu rzucił znów pytanie, nie otrzymawszy zaś żadnej odpowiedzi, spojrzał na ucznia zwycięsko i cedząc zwolna słowa, rzekł:

— Lubię cię, Podgórski! Wiem, że masz pasję do koni i nie mogę odmówić sobie przyjemności dogodzenia ci pod tym względem. Siadaj!

Z rozmachem postawił mu pałę po przez dwie kratki dziennika. Piotr Erazmow nigdy nie czuł się tak zadowolony jak w tej chwili: wyśmiewany w oczy i za oczy, cieszył się teraz z tego odniesionego nad uczniem zwycięstwa. Niespokojne szmery w klasie i dochodzące go urywane słowa nie pozwoliły mu na dalsze rozważania „zwycięstwa“.

„...Ja wiem, za co to ta pałka!.. obryzgał go błotem... będzie się mścił... nie winienem, że ojciec każe mnie do szkoły odwozić... ale ja mu...“

Tak rozpoczął się pojedynek między profesorem Piotrem Erazmowem, a uczniem klasy IV — Aleksandrem Podgórskim. Dla Erazmowa była to straszna, szarpiąca nerwy, walka. Stracił zimną krew: zapalał się gniewem, to znów stawał się wobec wroga niezwykle uprzejmym. Pytał często Podgórskiego. Gdy ten umiał cośkolwiek, zadawał mu chytrze ułożone pytanie, by zbić go z tropu i posłać na miejsce ze stopniem niedostatecznym. Czasami znów, by okazać bezstronność rzucał mu obfitą garścią niezasłużone „dobre“.

Któregoś dnia inspektor wizytował szkołę. Było to w okresie, kiedy Podgórski dostawał same celujące. Wizytator, sprawdzając dziennik i widząc parę celujących z rzędu przy nazwisku Aleksandra, poprosił go do tablicy. Uśmiechał się łagodnie, życzliwie patrząc na uczniów. Podgórski odpowiadał wczoraj na te same pytania i odpowiadał wcale nieźle. Lecz, gdy spojrzał teraz na Erazmowa, uśmiechnął się dziwnie i... nie odpowiedział nic. Inspektor próbował bezskutecznie naprowadzić go na odpowiedź, wreszcie zwrócił się do Erazmowa.

— Wczoraj odpowiadał na te same pytania i otrzymał piątkę. Uczniowie pańscy, jak widać, nie rozumieją przedmiotu, a uczą się bezmyślnie na pamięć. To bardzo źle.

I wyszedł, nie pożegnawszy się z Erazmowem.

Nadszedł dzień egzaminu. Podgórski był pewny siebie, opanował bowiem cały kurs, a przecież na egzaminie Erazmow nie może się bez powodu przyczepić... To też uśmiechnął się ironicznie, gdy stanął przed obliczem wroga. Erazmow zaś podniósł głowę, spojrzał nań i suchym, urywanym głosem zadał pytanie... z kursu klas poprzednich. Podgórski stracił raptownie swoją butną minę. Spokorniał w jednej chwili, a doszedłszy do wniosku, że nie potrafi odpowiedzieć, jął prosić o uwzględnienie, tłumacząc, że przecież po dwóch latach mógł zapomnieć, że nie spodziewał się .. Wreszcie ten butny, zuchwały chłopak począł płakać, chwytając Erazmowa za rękę. Nauczyciel był nieubłagany...

Gdy po paru dniach Erazmow wszedł do klasy, zdziwiła go niebywała cisza. Chłopcy siedzieli smutni i powolni patrząc nań z nieukrywaną nienawiścią.

— Może już umarł — odezwał się któryś półgłosem.

— Kto? spytał Erazmow.

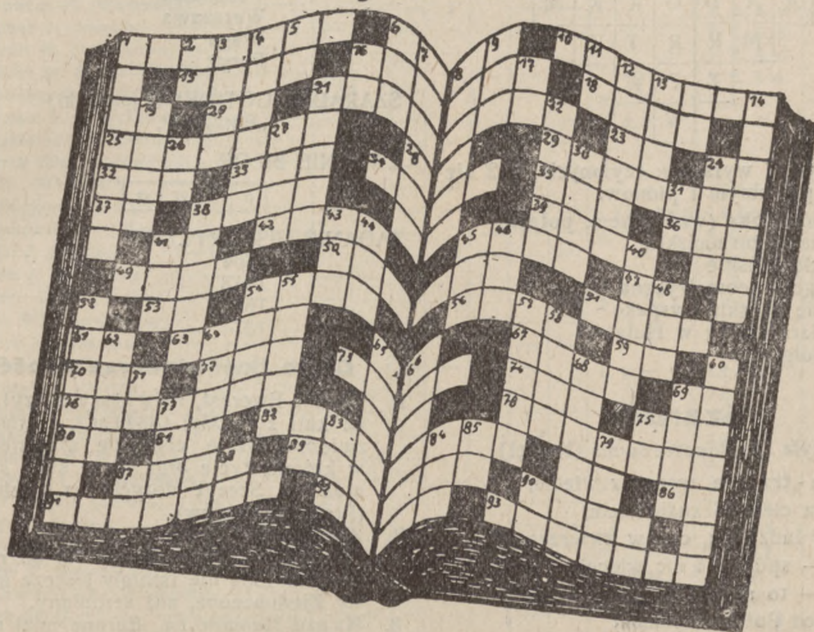
— Podgórski. Dostał zapalenia mózgu, dlatego, że się ściął.

Erazmow, nakazawszy ciszę, prowadził lekcję sucho, urzędowo... I tylko po wyjściu ze szkoły, gdy wlókł się ciężkiemi krokami w stronę domu — dwie starcze łzy ciekły mu po żółtych, zwiędłych policzkach...

D—WICZ

Rozrywki umysłowe

Krzyżówka.



Pionowo:

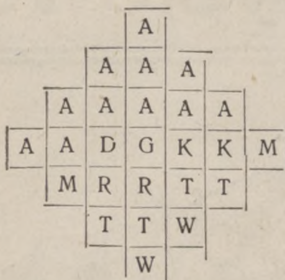
1. Dowódca floty, 2. bóg egipski, 3. inaczej woń, 4. znakomity fizyk francuski. 5. jednostka miary elektryczności, 6. Zaimek osob. w 3 przyp., 7. inaczej bezsilność, 8. bohater rewolucji francuskiej, 9. łóżko po angielsku. 11. litera fonetycz-ie wspak. 12. bohater wojny trojańskiej, 13. spadek po niemiecku, 14. szabla turecka, 15. moja po franc. 17. litera grecka fonetycznie, 19. płaskowzgórze w Azji, 21. miasto we Włoszech, 22. inaczej ciężar, 24. okrzyk przy tańcu, 26. piekło po rosyjsku, 27. imię żeńskie, 30. zwierzę wspak, 31. bóg egipski, 38. widownia w kinie, 40. starożytne miasto w Grecji, 41. członek izby wyższej w Anglji, 43. imię męskie wspak, 44. drzewo, 45. sztuka w łacinie, 48. okres czasu, 52. lalka, służąca jako okaz, 55. główna tętnica, 57. kochać w łacinie, 58. napój, 60. komórki nerwowe wraz z wyrostkami, 62. napòj o małej ilości alkoholu, 65. znakomity literat norweski, 66. bohater włoski, 68. gra, 69. zwierzę domowe, 71. nuta, 77. okrzyk, 76. kraj w 2 przyp. 79. kraty w 2 pr yp. wspak, 83. nuty w 2 przyp., 85. okrzyk, 90. okrzyk.

Poziomo:

1. Twierdza w star. Atenach, 2. dwugłoskowa stopa wiersza, 10. mąż pięknej Heleny. 15. imię męskie, 16 zawód po francusku, 18. kraj w Ameryce, 20. tak po niem. wspak, 21. marszałek dworu u Franków, 24. Zaimek wskazujący wspak, 28. inaczej znasz, 29 naczynie krwionośne, 32. pierwiastek, 34. niebo po chłopsku, 35. owoce po niem. wspak. 36. inaczej zabawa wspak, 38. wyspa, 39. inaczej gatunek, 42. elektrod dodatni, 46. utwór Słowackiego, 47. litera fonet. wspak, 49. pieśniarz ludowy, 50. gatunek ryby, 51. inaczej przystań. 53. bóg egipski, 54. zastępca sułtana, 56. gatunek zwierząt, 59. zaimek osobowy, 61. krok po franc. fonetycznie, 67. rodzaj kobierca, 70. rzeka w Afryce, 72. śmierć po franc. fonetycznie, 73. firma samochodowa. 74. powitanie po łacinie, 76. imię męskie, 78. kapitalista po fr., 81. aby po łacinie, 82. uczony, zajmujący się astronomją, 86. tak po niem, 87. stolica Norwegji, 89. sługa w haremie, 90. biuro po fr. fonetycznie, 91. Przyrząd do mierzenia małych długości, 92. rodzaj komórki w ciele ludzkim, 93. rodzaj balu.

Kryształ

Ułożył Fr. Grochocki.



Ułożyć 7 wyrazów, czytanych w 2 kierunkach, poziomym i pionow.

1. Spółgłoska (wzór chem. potasu)
2. Miasta birmańskie
3. Imię żeńskie
4. Figura geometryczna
5. Imię żeńskie (wspak)
6. Miara cieczy w Holandji
7. Spółgłoska

Szarada

ułożyła *E. Gonczarówna* (Kowel)

Pierwsze - trzecie, wszyscy wiecie;
W każdym ciele to znajdziecie,
Czy to w ludzkiem, czy w zwierzęcem;
Drugie — spójnik i nic więcej;
Całość — to nazwisko znane,
W dziejach Polski zapisane!

Łamigłówka

b c c d e e e e g i i i i ł m m
n n o o o o r z ń u u t y.

Z następujących liter ułożyć znane polskie przysłowie.

Zadanie

Stary Arab pozostawił testament, mocą którego po jego śmierci stado wielbłądów należało rozdzielić między trzech jego synów w ten sposób, ażeby starszy syn otrzymał połowę, średni — trzecią część, a młodszy dziesiątą część wszystkich wielbłądów. Arab umarł i pozostawił 17 wielbłądów. Synowie chcieli przeprowadzić podział w myśl testamentu, ale liczba 17 nie dzieliła się ani na 2, ani na 3, ani na 9. Nie mogąc samodzielnie poradzić temu zadaniu, bracia zwrócili się o pomoc do szeika (dowódca plemienia). Na prośbę braci mądry szeik przybył do nich na własnym wielbłądzie i przeprowadził podział stada między braćmi na podstawie testamentu. Jak on to zrobił?

Rozwiązania z działu „Rozrywki umysłowe Nr. 3".

REBUS GROCHOCKIEGO: „Młodości, ty nad poziomy wylatuj, a okiem słońca ludzkości całe ogromy przeniknij z końca do końca".

WŁAMYWACZE.
Yokohama
Warszawa
Praga
Paryż

SZARADA „GOTÓW" (Ejszyszki)
„Paragraf",

ZADANIE BILOR

| o | 2 | g | a |

ZADANIE HISTORYCZNE:
1364
1413
1648
1374

Gdzie tkwi niedorzeczność?

1. Mount Ewerest, najwyższy szczyt górski na kuli ziemskiej (8840 m.), posiada niezmiernie niskie ciśnienie atmosferyczne, w którem życie organiczne staje się niemożliwe. Szczyt dotychczas niezbadany. (Ptaki, chorągiew).
2. Znaczek pocztowy.
Pierwszy znaczek datuje się od r. 1841. W roku 1504 nie istniały jeszcze ani Stany Zjednoczone, ani aeroplany.
3. Najazd Hunnów na Europę miał miejsce w wieku V (Atylla 433-453). Pierwszy zegar wynaleziony został przez Hele'a w roku 1500, a wahadło przez Huygensa w 1656. Widelce zostają wprowadzone znacznie później.
3. W okresie wojny trzydziestoletniej (1618-1648) istniała już broń palna; stare uzbrojenie (zbroja, miecze i tarcze) było więc nieaktualne.
5. Czarny kot nie zawiera niedorzeczności,
6. Góra Mont-Blanc, jest najwyższym szczytem w Europie.
Hannibal nie posiadał amat.
7, Karta tytułowa.
Odkrycie Nowej-Zelandji miało miejsce w r. 1642 przez Tasmana Abla (Holender) Samuel ze Skrzypny Twardowski urodził się w Wielkopolsce w 1600 r. z ojca Macieja i matki Zofji Rejówny. Warszawa nie była jeszcze stolicą Polski.

MINIATURKI SZARADOWE
1. lew—ar
2. syn—teza
3. Tar—nad 1

METARMOFOZA
barak, burak, burek,
kurek, kubek. kubeł.

Trafne rozwiązanie z numeru 3-go nadesłali:

	Szarada	Rebus	Zadanie Bilora	Zadanie tafelkowe	Miniaturki szaradowe	Krzyżówka rysunk.	Metamorfozy.	Zastanów się!	Gdzie tkwi niedorzeczność	Włamyw.	Zadanie histor.
Gerkowicz N. (Warszawa)	—	—	—			—	—		1. 2. 3. 6.	—	
Leuchter J. (Sambor)	—	—	—	—		—			1. 2. 3. 6.		
Samueli Al. (Limanowa)	—	—	—	—		—			1. 2. 3. 6.		
Wiślocki St. (Królewska-Huta)	—	—	—	—	—	—	—		1. 2. 3. 6.	—	
Buchheim Gertruda (Jarosław)	—		—			—	—	8.	1. 2. 3		
Borowski L. (Warrzawa)	—	—	—				—	1. 2. 8.			
Derłukiewicz An. (Leśna Podl.)	—	—	—	—	—	—	—	2.			
Lińczuk Eug. (Leśna-Podl.)	—	—	—	—	—	—	—			—	
Kac H. (Warszawa)	—	—	—	—		—	—	1. 2. 3.	1.2.3.4.6.7		—
Woroncówna Anna (Warszawa)	—	—	—	—		—	—	1.2.3.4.5.8.9	1.2.3.4.5	—	
Waryszewski W. (Warszawa)	—		—		—	—	—	2. 4	1. 2. 3. 6.	—	
Hessel J. (Złoczów)	—	—	—	—	—	—	—		1.2.3.5 6.7		
Cejtlin J. (Warszawa)	—	—	—			—			1. 2. 3. 5		
Halpern D. (Warszawa)	—	—	—	—		—	—	2	1.2.3.6.7		
Kazak Wł. (Tarnobrzeg)	—	—	—			—	—		1.2.3.4.6		
Werner J. (Warszawa)	—	—	—			—	—		1.2.3.6.7		
Glaszmidt Z. (Warszawa)			—	—		—		1. 2	1.2.3.6.		
Kołdobski F. (Wilno)						—			1.2.3.6.		
Łozinski J. (Jarosław)	—	—		—	—	—	—	1.2.3.4.8	1.2.3.6.7		
Kleinberg J. (Kraków)			—			—			1.2.3.6.7		
Kiwelowicz F. (Warszawa)	—	—	—		—	- -	—		1.2.3		
Folman S. i W. (Warszawa)	—	—	—	—	—	—	—	2. 5. 9	J.2.3	—	
Grochocki Fr. (Łomża)	—		—	—	—	—	—		1.2.3.6.7	—	
Fiszer I. (Kutno)	—				—	—	—	4	1.2.3.6.7	—	
Oniman A. (Białystok)	—		—			—	—	2. 3. 6.	1.2.3.6.7		
Koegel E. (Nowy-Targ.)						—	—	1. 2. 3.	1.2.3.6.	—	
Gołębiowski Cz. (Warszawa)	—				—	—			1.2.3.6.7		
Morek St. (Łuków)	—	—	—	—		—			1. 2. 3, 6		
Goldgras J. (Warszawa)	—			—		—	—		1.2.3.6.7.		
Rabinowicz (Warszawa)	—	—	—		—				1.2.3.6		
Feuerstein J. (Kraków)	—	—				—	—	1.2.6.8	1.2.3.6.7	—	
Kleinerman K. (Warszawa)	—		—			—		2. 5	1.2.3.4.6		
Miedziński Z. (Trembowla)	—	—					—		1. 6		
Cynamon N. (Płock)	—	—	—			—		Wszystko	Wszystko		
Izraelitan J. (Wilno)						—			1.2.3.6		
Czerniaków J. (Warszawa)	—	—	—		—	—	—		1. 2. 3		
Stygar St. (Dąbrowica)	—	—			—	—			1.2.3.6		
Goldberger St. (Nowy-Sącz)	—										
Berson M. (Brześć n/B)			—			—			1. 2. 6	—	
Kurland A. (Warszawa)	—	—	—	—	—	—	—		1.2.3.6.7		
Mendelsohn Sz. (Lublin)	—	—	—	—		—	—	1.2.4.5.9	1.2.3.4		
Krzywosiński R. (Lipno)	—	—	—		—		—	2.4.5.7.9	1.2.3.6		
Tarłowski C. (Sokółka)			—								
Pri-gan (Brześć n/B	—	—				—		8	1.2.3.7		
Wernik J. (Kielce)	—	—	—			—	—				
Feiwel S. (Tarnów)	—	—	—			—			1,2.3.4.6.	—	
Dawidowicz T. (Warszawa)	—	—	—			—		2. 8	1.2.3.4.7.		
Helmer A. (Żychlin)	—	—	—	—	—	—			Wszystko	—	
Hilderbrandt (Warszawa)	—	—	—	—	—	—	—	2. 4. 5.	1.2.3.4.7.		
Rasskin B. (Warszawa)	—	—	—	—		—	—	2			
Goldman (Warszawa)								2.8.	1.2.3.5.		
Bartman (Warszawa)			—					2.	1.2.3.6.		
Ćwik Z. (Warszawa)	—		—			—	—			—	
Kuchta W. (Józefowiec)	—										

UWAGA: Kreska oznacza rozwiązanie odpowiedniego działu rozrywek, natomiast puste miejsca— złe rozwiązanie lub nienadesłanie odpowiedzi.

Od Redakcji.

Na skutek żądania wielu komitetów klasowych, które wysuwały, jako argument, absorbujące uczniów zajęcia przed końcem roku szkolnego, Redakcja postanowiła odroczyć termin turnieju międzyszkolnego do jesieni. Wobec tego dotychczasowych rezultatów konkursu nie ogłaszamy.

Z braku miejsca w numerze tym nie uwzględniliśmy rubryk „Głos Czytelnika" i „Skrzynka pocztowa".

Odpowiedzi na pytania, zawarte w № 3 M. P. w dziale „Zastanów się", umieścimy w następnym numerze.

Za trafne rozwiązania zadań z Nr. 3-go nagrody książkowe otrzymali:

Woroncówna Anna — Warszawa
Łoziński J. — Jarosław
Cynamon N. — Płock
Waryszewski W. — Warszawa
Kczywosiński R. — Lipno

H U M O R

Dowcip stary, ale dobry.

Przed egzaminami zły uczeń mówi do dobrego:

— Słuchaj! Jak ty będziesz odpowiadał ja będę podsłuchiwał. Może się czegoś nauczę.

Następnego dnia wzywają lepszego ucznia do egzaminu.

Profesor: — Cobyś zrobił gdybyś zobaczył muchę, która ma tylko 3 nóżki?

Uczeń: — Wziąłbym ją delikatnie w dwa palce i przyłożył do świecy, żeby skrócić jej męki.

Profesor: — Mądry z ciebie chłopak.

Uczeń: — Jeszcze nim nie jestem, ale mam nadzieję. że pod kierunkiem pana profesora wkrótce nim się stanę.

Dobry uczeń idzie na miejsce, a do egzaminu przywołują gorszego ucznia.

— Profesor: — Cobyś zrobił gdybyś zobaczył słonia, który ma 3 nogi?

Uczeń: — Wziąłbym go delikatnie w dwa palce i przyłożył do świecy, żeby skrócić jego męki.

Profesor: — Jesteś wielki osioł!

Uczeń: — Jeszcze nim nie jestem, ale mam nadzieję, że pod kierunkiem pana profesora wkrótce się nim stanę.

Nad. WALERJAN KOSTRZ
(Warszawa)
i z pewnemi zmianami
LUCJAN WEISS (Warszawa).

Naiwność.

Mała Stasia słyszała w szkole, że Adam był pierwszym człowiekiem na świecie i że z jego żebra zrodził się drugi człowiek. Po przyjściu do domu pyta ona matkę:

— „Ile żeber ma człowiek, mateńko?"

— „Dwadzieścia cztery, moje dziecko, z każdej strony po dwanaście".

— „Ach, miły Boże" myśli Stasia, „biedny ojczulek ma chyba osiemnaście żeber, bo nas jest sześcioro".

Nauczyciel do ucznia w czasie wstępnego egzaminu:

— „A teraz zobaczymy, jak jesteś zaawansowany w przyrodzie. Powiedz mi, od jakiego zwierzęcia pochodzi futro, które nosi twoja mamusia?"

— „Od wuja Karola!"

Kłótnia.

Dwóch przyjaciół — zapalczywy Karol i flegmatyczny Stefan pokłócili się. Podczas kłótni Karol spoliczkował swego przyjaciela.

— „Słuchaj, Karolu, czy to ma być poważnie, czy to dowcip?

—„Zupełnie poważnie"—mruknął Karol.

— „Całe szczęście! Bo takich kiepskich dowcipów organicznie nie znoszę".